

2

FOLHA POLONÊSA

PRZEGŁAD POLSKI

REVISTA
POLONÊSA



Ano IV Março 1963

27

RESIL

Indústria e Comércio S. A. São Paulo

Rua Martins Buchard, 254. Tel.: 9-5050

ASSENTOS PARA AUTOMÓVEIS
PARA QUALQUER MARCA.



Odwiedź Polskę!

POLSKA CIĘ ZAPRASZA!

Przyjedź!

Zobaczysz, jak zmienił się Kraj. W zabytkowych miastach ujrzysz nowoczesne dzielnice i rosnący przemysł. Doskonałe drogi zawiodą Cię do Twoich przyjaciół i krewnych. Odwiedzisz pamiątki i pomniki kultury narodowej. Wypoczniesz wśród polskiej przyrody — w górach, lasach lub nad jeziorami.

Najlepiej i najtaniej zwiedzisz Polskę biorąc udział w wycieczkach ORBISU.

ORBIS zapewni Ci wszelkie wygodę.

Całodzienny pobyt w hotelach od dol. US 7,50 do 12,50 w sezonie i od dol. US. 5,50 do 10,00 poza sezonem, a w pensjonatach: w sezonie od dol. US. 3,10 do 4,50, poza sezonem — od dol. US. 2,50 do 3,60 przy 10 dniach pobytu.

Szczegółowych informacji związanych z przyjazdem udzielają biura podróży — korespondenci ORBISU:

SÃO PAULO:

— Passatours, av. São Luiz, 100 tel. 36-1808.

— Carrara S. A., r. Barão de Itapetininga, 224, 3.º tel. 37-2531.

— Compagnie Internationale de Wagons - Lits, r. Marconi, 101 tel. 36-7588.

— CIT Cia Italiana Turismo, pr. Dom José Gaspar, 22 tel. 34-5295.

— International Travel Promotion, r. 24 de Maio, 276 s. 103/104 tel. 36-9957.

RIO DE JANEIRO:

— Passatours, pr. Pio X, 78 tel. 23-8892.

— Air France, av. Pres. Ant. Carlos, 58 tel. 32-1998.



— American Express Co., r. México, 74 B tel. 31-2000.

— Carara S. A., Av. Graça Aranha, 416 s. 1206 tel. 22-1792.

— Compagnie Internationale de Wagons Lits, av. Pres. Wilson, 164 b tel. 32-6965.

— Polvani do Brasil, av. Pres. Vargas, 392 tel. 43-8164.

PASSATOURS VIAGENS E CAMBIO LTDA.

Agente exclusivo de "ORBIS"

TURISMO

PASSAGENS

SÃO PAULO

Rua São Luiz, 100

Caixa Postal, 2.620

VIAGENS

CARGAS

Telefones:

33-7337 — 36-1808

37-0944

End. Electr. PASSATOURS.

LUD

O MAIOR JORNAL
POLONES DA AMÉRICA
LATINA

FUNDADO EM 1920

BOA IMPRESSÃO VASTA DISTRIBUIÇÃO TRADIÇÃO

Circulação

É O PRIMEIRO EM
TERRAS DO INTERIOR
PARANENSE!



Penetração

É O PRIMEIRO EM
PENETRAÇÃO NOS
LARES DO INTERIOR!



Vantagem

O "LUD" CONTA
COM MILHARES DE
LEITORES, QUE
TEM O QUE VENDER
E COM QUE COMPRAR.

FAÇA DELES SEUS
CLIENTES. — SEU
CRUZEIRO RENDERA
MUITO MAIS.



ANUNCIE NO LUD

REDAÇÃO E ADMINISTRAÇÃO: — RUA CABRAL 846
FONE: 4-1057 — CAIXA POSTAL 155 — CURITIBA - PARANÁ

E FAÇA AGORA SUA ASSINATURA

CÔNICOS - TUBOS - ESPULAS - TUBETES



produzidos em papelão baquelitizado ou celeron e com
impregnação especial e anéis-reforços nas extremidades
— para as mais rudes tarefas;
não são afetados pela umidade, óleo ou ácidos.

FABRICA DE ESPULAS E TUBETES
"PROGRESSO"

HARASIM

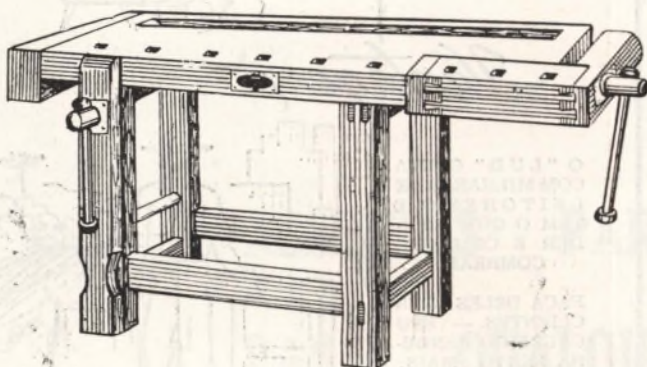
& Filho Ltda.

Rua Serra da Bocaina, 173 • Tel.: 9-7905 • End. Telegráfico "HARASIM" • São Paulo

INDÚSTRIA DE MADEIRAS



RUA SOUZA LIMA, 200 — TEL.: 52-3942, — SÃO PAULO



Fabrykuje solidne warsztaty dla stolarzy, modelarzy i
amatorów jak również dla ślusarzy, jubilerów i t. p.
Posiadamy duży zapas warsztatów gotowych.

SPRZEDAJE i PRZYJMUJE W KOMIS KSIĄŻKI POLSKIE

SEWERYN HARTMAN

Rua Barão de Itapetininga, 140

s. 133 — Cx. Postal, 6335

Tel.: 37-5741

SÃO PAULO

Tipografia

ALADA LTDA.

Rua Vitória, 237 Tel.: 35-2994

SÃO PAULO

Druki handlowe wszelkiego
rodzaju

Zaproszenia na śluby

Karty wizytowe

Stemple

WYKONANIE SOLIDNE

I TERMINOWE

Construções

Mecânicas

Rozenowicz Ltda.

Transportadores

Alimentadores

Elevadores

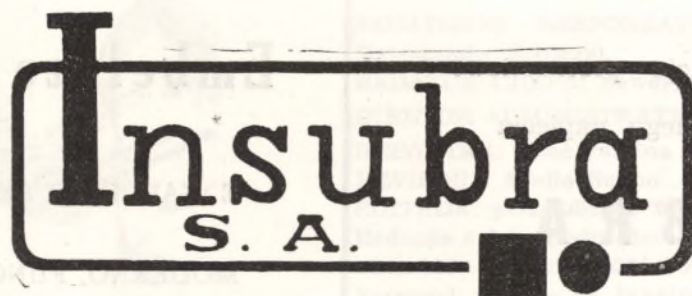
Peneiras

Moinhos de martelos

Estruturas metálicas

Rua da Balsa, 10 PIQUERI

Cx. Postal, 11.912 — SÃO PAULO



A MAIS COMPLETA LINHA DE TÔDAS AS MÁQUINAS PARA SEU ESCRITÓRIO

Distribuidores exclusivos no Brasil das seguintes marcas:

ADLER — máquinas de escrever e de contabilidade

EVEREST — máquinas de escrever e somar, de calcular e de contabilidade

ROTO-CENTO-PRINTO — duplicadores e mimeógrafos a álcool, tinta e processos heliográficos

CITOGRAPH — equipamentos de endereçar e organização

ORMIG — máquinas de racionalização e organização de trabalho

DIEHL — máquinas de calcular superautomáticas

POSTALIA — máquinas para franquiar correspondência e selos fiscais.

São Paulo: — rua Vitória, 302/4, fone: 37-3171

Rio de Janeiro: — Av. Rio Branco, 138, 14.º, fone: 22-6663 e 22-9880

Pôrto Alegre: — Praça Rui Barbosa, 220 Ed. Tannhauser 2.º, fone: 8323

DISTRIBUIDORES AUTORIZADOS NAS OUTRAS CAPITAIS DO PAÍS.

“INTRA FERRO”

Indústria de Trefilação de Ferro Ltda.

Trefilação de metais não ferrosos:

Alumínio

Alpaca

Cobre

Latão

Av. Celso Garcia 1.338

phones: 93-14-76

93-26-00

São Paulo



INDUSTRIA DE ABRASIVOS S.A.

Rua Fernandes Vieira, 174 - Belém - Fones: 92-2764 e 93-9700

Elektryczne instalacje przemysłowe
niskiego i wysokiego napięcia

E L O B R A

OBRAS ELÉTRICAS LTDA.

Brigadeiro Tobias 356 — 10.º Conj. 103 — Tel.: 34-0806

SÃO PAULO

Imobiliária Denis-Stanley

Stanisława Ossowieckiego

SPRZEDAŻ NIERUCHOMOŚCI

KONSTRUKCJA I REFORMY
60 robotników i inżynier do usług.
Rua Aurora, 884 (parter i pierwsze piętro) w
pobliżu Av. Vieira de Carvalho. SÃO PAULO

Telefony: 37-9426 i 36-6748

Embeleze seu lar

E VALORIZE SEU TV TORNANDO-O

MODERNO, FUNCIONAL E AGRADÁVEL

Mesas ELEM para TV

PROCURE NAS LOJAS ESPECIALIZADAS

WEEK-ENDY I WAKACJE

RANCHO BOA ESPERANÇA, SÃO JOÃO NOVO
1.000 m. n.p. morza, źródła wody mineralnej, uroczne spacery,
konie pod wierzch, owoce.

Apartamenty z wodą bieżącą i światłem elektrycznym, kuch-
nia polska. — CENY UMIARKOWANE.

Odległość od São Paulo — koleją 1 i ½ godz. Estr. Soroca-
bana lub drogą kołową 45 km. przez Cotia, Roselandia, Ita-
pevi, Santa Rita, São João Novo.

Informacje telefonicznie: tel.: 35-5584 lub
Caixa Postal, 6335, São Paulo.
Tel.: SÃO JOÃO NOVO N.º 9



KUBKI PAPIEROWE

do 1 ltr pojemności

BUTELKI PAPIEROWE

(Container's)

Talerzyki i kubki papierowe

Na uroczystości, pikniki, etc. (Fantasia)

Opakowania specjalne dla super-mercados, fabryk konserw, etc.

INDÚSTRIA INAJÁ

Artefatos, Copos, Embalagens de Papel S.A.



Fábrica: Rua Clelia, 1642 — Fone: 62-8631 — SÃO PAULO

End. Telegr.: "COPINDUS"

Artykuły luksusowe męskie. Arty-
kuły importowane. Materiały kra-
jowe i zagraniczne.

Pracownia krawiecka
(kierownictwo włoskie)
KOSZULE NA MIARĘ

Dandy

J. Grunpeter (dawn. Katowice)
R. Oscar Freire 667 (esq. R. Augusta)
SÃO PAULO

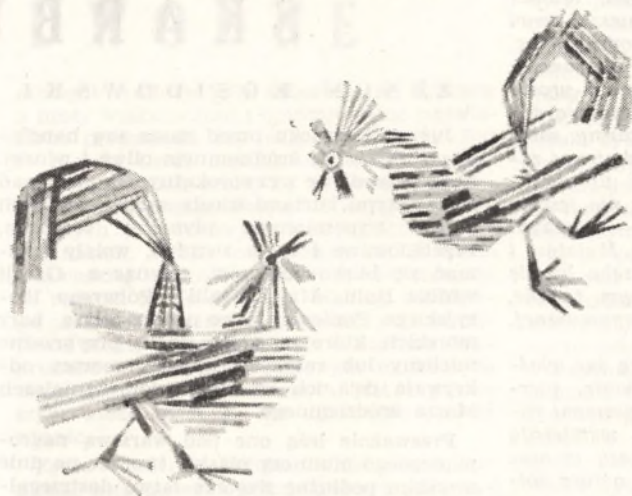
Dr. Arnaldo Serroni

ADVOGADO

Causas cíveis, comerciais, criminais,
trabalhistas e fiscais, inventários, des-
pejos etc.

Praça da Sé, 96 — 5.º Salas
84, 89 e 90 — Tel.: 32-2461

SÃO PAULO



REDATORES RESPONSÁVEIS: Casimiro Kinskowski e Sigismundo Schlegel.

REDATOR CHEFE: Seweryn A. Hartman

DIRETOR ADMINISTRATIVO: Sergio Elia.

REPÓRTER: José Fassina

REVISOR: Adelio Buono

EDITADA: pela Editora Team Ltda.

Redação e Administração: — Rua Barão de Itapetininga, 140 conj. 133 - C. Postal, 6335 - Fone: 37-57-41 - S. Paulo - Brasil.
Sucursal: — Rio de Janeiro, rua Miguel Couto, 35, gr. 703
Telefone: 42-4339.

Assinaturas: Cr\$ 800,00 anuais (12 números). Para os estados do Paraná, Santa Catarina e Rio Grande do Sul Cr\$ 500,00.

Para o exterior: US \$ 3,00. Número avulso Cr\$ 70,00.

Composto e impresso nas oficinas do jornal "LUD" — Al Cabral, 846 — Curitiba — Paraná.

POLITYKA, A RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA, A RZECZYWISTOŚĆ — POLITYKA, A RZECZYWISTOŚĆ

STOJĄCA WODA

Dyktator brazylijski Getulio Vargas lubił Polaków. Uważał ich za dobrych kompanów, ale trochę lekcewał. Lekcewał się słabych każdy o tym dobrze wie. Człowiek sympatyczny, nawet dzielny, ale nieporadny życiowo, nie wierzący we własne możliwości, nie oceniający własnych sił, zasługuje co najwyżej na pobłażliwy uśmiech.

Getulio, tak jak Nikita Chruszczew, lubił opowiadać dykteryjki. Kiedyś zgadło się o Polakach. Ktoś twierdził, że jest ich milion w Brazylii, co oczywiście jest już przesadą, że trzeba się liczyć z ich zdaniem.

Dyktator roześmiał się.

— Z Polakami jak z żabami — powiedział — tak głośno krzyczą w krzakach, że wydaje się, iż gnieździ się ich tam wiele, a w rzeczywistości siedzi tylko kilka sztuk.

Ta dykteryjka charakteryzuje nas jak najbardziej słusznie. Gęby to mamy od ucha do ucha i potrafimy gadać. Nikt

nie umie od nas więcej zrobić, nikt nie jest mądrzejszy. Ale tylko w teorii. W rzeczywistości ta olbrzymia energia i dynamika wyczerpuje się na załatwianiu drobnych porachunków pomiędzy sobą i szkalowaniu się wzajemnym. Na realną pracę nie ma już czasu, ani siły.

Nie tak dawno ponieśliśmy największą chyba w dziejach wychodźstwa polskiego w Brazylii klęskę polityczną. Na wystawionych dwunastu kandydatów do parlamentu federalnego i stanowego nie przeszedł ani jeden. Nie wiem, czy ktoś zdaje sobie sprawę ze znaczenia i wymowy tej klęski. Stan, w którym grupa etniczna polska zajmuje pośród wszystkich grup etnicznych pierwsze miejsce, nie ma teraz ani jednego przedstawiciela w ciałach ustawodawczych. Pod względem politycznym jesteśmy kompletnym zerem, nikt się z nami po tym nie będzie liczyć. Nie chce się po prostu pomieścić w głowie, że mogliśmy tak z kretemem przegrać.

Winna tu jest całkowita obojętność, brak zainteresowania własnymi sprawami, nie zdawanie sobie sprawy z wagi zagadnienia. Jesteśmy wzajemnie ze sobą poróżnieni na mnóstwo partii i partyjek, każdy nas może przekabacić na swoją stronę pięknymi słowkami byle to był obcy, nie swój.

Chciałoby się powiedzieć:

GŁODNY, ALE GODNY...

Znowu o sprawach rasowych, czy nie za dużo o tych sprawach? Pytanie to ma prawo sobie zadać czytelnik "Przeglądu Polskiego", gdyż w ostatnich kilka numerach omawiane już były te tematy. Osobiście uważam, że nie ma sprawy równie ważnej dla dalszych losów ludzkości. Jest ona źródłem tylu zadrżnień w stosunkach ludzkich, że bez jej właściwego uregulowania nigdy nie zbliżymy się do jakiegokolwiek rozsądniejszego rozwiązania zagadnienia przyszłości naszej planety.

Nie jest to, oczywiście, ani łatwe, ani proste. Uprzedzenia rasowe, przekonania o wyższości tej lub innej rasy, są tak głęboko za-

"Ludzie, obudźcie się! Przypomnijcie sobie, że jesteście potomkami jednego z przodujących narodów świata. Przestańcie żyć w zaścianku, w kręgu własnych małych interesów. Nie bądźcie obojętni na losy tego pięknego kraju, w którym żyjecie i który stał się drugą waszą ojczyzną i włączcie się aktywnie do jego życia politycznego z pełną świadomością i rozsądkiem".

Ale czy warto to mówić, czy warto strzępić sobie język?

Ot, niezadługo czekają nas wybory na radnych. Trzeba już teraz się zastanowić jak rozegrać tę batalię, jaką zastosować taktykę, aby przynajmniej w tych wyborach odnieść jakiś sukces. Tymczasem w kołach naszej grupy etnicznej jak zawsze panuje bezruch i obojętność. W ostatniej chwili wyskoczy napewno kilkudziesięciu kandydatów, z których w tych warunkach żaden nie będzie miał szans na przejście. Mówimy o Kurytybie, bo w małym miasteczku w interiorze sprawa nie ma tak wielkiego znaczenia.

Te wybory będą ostatnim egzaminem. Jeżeli i tym razem przegramy trzeba będzie postawić kreskę na naszej świadomości politycznej.

Stojąca woda łęgnie larwy komarów i much. Rzucony w nią kamień wywołuje na jej powierzchni kilka rozchodzących się wolno kół. Po chwili wszystko powraca do poprzedniego stanu inercji i spokoju.

Czyżbyśmy się stali już ową stojącą wodą, która gdy z czasem wyschnie zamieni się w cuchnące bagno?

Mieszkaniec Kurytyby

SPIS RZECZY:

Polityka i rzeczywistość .. str.	5
W świecie nauki "	6 - 8
W starym kraju "	8 - 10
Przeszłość a teraźniejszość "	10 - 12
Podróże — Przygoda "	13 - 15
Opowiadanie — Szkic "	16 - 18
Rzeczy ciekawe "	19
Na naszym podwórku "	20 - 22
W Brazylii "	22 - 23
Życie gospodarcze "	24
Na pograniczu bajki "	24

korzenione, że całkowite ich usunięcie będzie wymagać jeszcze wiele czasu. A jednak istnienie społeczeństwa bez — lub prawie bez uprzedzeń rasowych jest możliwe i teraz. Najlepszy tego przykład mamy na miejscu — w Brazylii. Od wielu osób przybywających ze Stanów Zjednoczonych z ich kwestią muryńską bądź z innych zakątków świata, gdzie problem rasowy zatruwa atmosferę, słyszy się z westchnieniem ulgi: u was w Brazylii sprawy te wyglądają inaczej.

Myślę, że należy to przypisać daleko posuniętemu przemieszaniu ras w Brazylii. W dużym stopniu przyczyniły się do tego poglądy

SKARB Y

ZENON KOSIDOWSKI

Już w XV wieku przed naszą erą handlowano na Morzu Śródziemnym oliwą i winem. Statki handlowe z czworokątnym żaglem nad rozłożystymi burtami wiozły setki ogromnych amfor wypełnionych płynnym towarem. Przeladowane i mało zwrotne, wołały trzymać się blisko brzegów, płynąc z Grecji wzdłuż Italii, Afryki, Galii i Półwyspu Iberyjskiego. Ponieważ łatwo padały ofiarą burz morskich, które zapędzały je na przybrzeżne mielizny lub rafy, archeolodzy morscy odkrywają dziś ich wraki w wielu miejscach Morza Śródziemnego.

Przeważnie leżą one pod warstwą nagromadzonego mułu czy piasku, tworząc na dnie morskim podłużne wzgórza łatwo dostrzegalne przez pletwonurków. Po kadłubach tych statków zazwyczaj nie ma oczywiście śladu, gdyż drzewo szybko ulega niszczeniu działaniu wody, skorupiaków i wodorostów. Ale za to uchowały się amfory, które swego czasu zostały w równych szeregach ustawione na pokładzie, a obecnie w takim samym porządku leżą na dnie morza. Nurkowie opowiadają o niesamowitym wrażeniu, jakie sprawia widok tych ogromnych naczyń glinianych, ułożonych symetrycznie jedno przy drugim i zróżniętych ze sobą osadem wapnia i mułu. Statki handlowe, odkryte u wybrzeży Włoch i Francji, wiozły na swoim pokładzie dwa do trzech tysięcy tego rodzaju amfor. Ponieważ każda z nich miała co najmniej półtora metra wysokości i pół metra szerokości, statki były niewątpliwie przeciążone ładunkiem i bardzo mało zwrotne na morzu.

O jednym z tych statków towarowych, odkrytym w pobliżu Riwiery francuskiej w śledztwie Antheor Point i pochodzącym z I wieku p. n. e., warto przytoczyć ciekawy

wiadomo, że istnieje kraj — Arabia Saudyjska — w którym niewolnictwo istnieje dotąd legalnie.

Jak potrafi wyzwolona rasa czarna wykonać nowe uprawnienia? W okresie walk o niepodległość można było stosować hasła, które w luźnym tłumaczeniu podał w tytule: "Głodny, ale godny". Hasła te stanowiły odpowiedź na przewidywania durnych białych władców, że wolność pociągnie za sobą pogorszenie warunków gospodarczych. Ale po nasyceniu się wolnością, czy trwać to będzie kilka miesięcy, czy kilka lat, ludzie zapragną lepiej żyć. Kierownicy nowych państw murzyńskich mają ciężkie sprawy do przelamania. Prawie wszyscy są w mniejszym lub większym stopniu dyktatorami. Od poziomu zdolności tych kierowników zależą dalsze losy czarnej rasy. Dotychczasowe wyniki nie są zbyt pomyślne. Nawet Liberia, która stała się niepodległą republiką w r. 1847, w ciągu ponad stu lat istnienia nie dokonała wielkich rzeczy.

Wyzwolone kraje murzyńskie stawiają pierwsze kroki na drodze organizacji swego życia społecznego i gospodarczego. Zapewne czeka je jeszcze niejeden wstrząs, niejednemu z jej polityków mania wielkości uderzy do głowy, jak np. dyktatorowi Ghany Nkrumahowi, który toleruje swój kult pólba i pozwala na wznoszenie sobie za życia pomników, ale ostateczny wynik jest chyba jasny: do przewidzenia. Afryka, czarna Afryka, wcześniej lub później ugruntuje swą niepodległość, przezwycięży opory i stanie się kwitującym zakątkiem świata.

A. GAWAR

Portugalczyków, którzy kolonizując obce kraje zalecali osadnikom branie miejscowych kobiet, fakt nie spotykany u innych kolonizatorów, a nawet w świecie pełnym uprzedzeń rasowych trudny do zrozumienia.

Wydać się, iż przemieszanie ras jest koniecznością życiową na naszej planecie. Z niezbadanych powodów pociąg seksualny pomiędzy odrębnymi rasami jest bardzo silny. Najlepszym tego dowodem jest Afryka Południowa, gdzie za stosunki seksualne pomiędzy osobami odmiennych ras grożą surowe kary i gdzie mimo to stosunki te są na porządku dziennym.

Nie ulega wszakże wątpliwości, że już dziś — nawet bez przemieszania rasowego — w wielu krajach stosujących uprzedzenia rasowe zapanowałyby znośniejsze warunki, gdyby rasa uważająca się za wyższą zrozumiała, że arogancja w odniesieniu do ras "niższych" stanowi jedynie pokrycie własnego niskiego stopnia rozwoju kulturalnego i moralnego, a rasy "niższe" pozbyły się przewrażliwienia na krzywdy nieraz urojone.

Obecny rząd Stanów Zjednoczonych daje dowody, że istotnie pragnie zagwarantować równe prawa dla obywateli bez względu na kolor skóry. Gdy Murzyn James Meredith nie mógł się dostać na "biały uniwersytet" w Oxford w stanie Missisipi rząd federalny nie zawahał się przed użyciem siły. A mimo to pisał amerykański, Murzyn James Baldwin, jest pełen goryczki. Píše on według tygodnika Time:

"Biali mają pełnię władzy. Oznacza to, że są oni wywyższeni, a czarni poniżeni".

Trudno zrozumieć jak Baldwin mógł to napisać w czasach, gdy w Afryce istnieje już kilkanaście niezależnych państw, w których Murzyni posiadają pełnię władzy.

Co do Stanów Zjednoczonych to nie można zaprzeczyć, że istnieje tam ostry konflikt rasowy i że zdarzają się stale nadużycia w stosunku do ludności murzyńskiej. Tenże James Baldwin będzie miał do końca życia uraz, gdyż jako dziesięcioletnie dziecko został zmalretowany przez białych policjantów. Można tylko podziwiać Meredith'a i innych dzielnych ludzi walczących o równouprawnienie Murzynów dośłownie z narażeniem życia ale fakt, że władza w Stanach Zjednoczonych znajduje się w rękach białych jest rzeczą jak najbardziej naturalną, zważywszy, że w tym kraju mieszka zaledwie 10 proc. Murzynów w stosunku do ogółu ludności i fakt ten nie może świadczyć bynajmniej, że rasa biała jest lepsza od czarnej.

Jak silne są wciąż jeszcze uprzedzenia rasowe w Stanach Zjednoczonych świadczy wiadomość o dyskryminacji już nie Murzynów lecz przedstawicieli rasy żółtej. Wiadomość tę przytaczamy za Time'm.

Jeden z najlepszych architektów amerykańskich, Japończyk urodzony już w Stanach Zjednoczonych Minoru Yamasaki, chciał nabyć dom w najlepszej dzielnicy Detroit. Agent towarzystwa sprzedaży nieruchomości dał mu jednakże wyrażnie do zrozumienia, że transakcja ta jest niemożliwa do przeprowadzenia. Dla Yamasaki przy jego dochodach sprawa ta nie miała znaczenia. Nabył rezydencję poza miastem i myśli teraz zapewne, że dzięki uprzedzeniom rasowym mieszka znacznie przyjemniej.

Tenże Yamasaki przytacza inny fakt prześladowań rasowych z czasów swojej młodości. Matka jego przyszła raz z placem do domu opowiadając jaka przykróść spotkała ją w autobusie. Usiadła, mianowicie, koło białej, ta zaś zerwała się natychmiast i usiadła koło białego, brudnego i nieogolonego włóczęgi. I nie zdarzało to się w okresie wojny japońsko-amerykańskiej kiedy tego rodzaju odruch byłby zrozumiały.

Starsza pani Yamasaki była niewątpliwie przewrażliwiona. Człowiek znający swą wartość nie będzie rozpacział, gdy ktoś napewno mniej wartościowy kieruje się w swoich odruchach kolorem skóry danej osoby.

Podobne problemy autobusowe nie są możliwe w Brazylii. Niebieskooki Szwed siedzi tam obok ciemnego Portugalczyka. Mulaci o najróżniejszym odcieniu domieszki krwi murzyńskiej ocierają się o Europejczyków, skośnookich Japonczyków i ich mieszańców i metysów, których grube, czarne i proste włosy i charakterystyczne rysy zdradzają domieszki krwi indiańskiej. Wyobraźmy sobie co by to było, gdyby wszyscy ci odmienni rasowo ludzie chcieli zachowywać uprzedzenia rasowe, a trzeba wiedzieć, że nie jest to bynajmniej monopol białych — Murzyni czyste krwi w Afryce nie znoszą Mulatów i uważają ich za coś gorszego. Trzeba by się było przesiadać w jeszcze szybszym tempie, niż w znanej, dziś już prawie zapomnianej, grze towarzyskiej.

Niektóre problemy rasowe nie są już właściwie problemami. Tak np. Indianie, pierwotni mieszkańcy Australii lub Buszmeni południowo-afrykańscy, jeżeli nie wymierają całkowicie to co najmniej wstępują w otaczające środowisko. Jeżeli chodzi o rasę żółtą, przede wszystkim Chińczyków, to nie potrzebujemy się o nich troszczyć. Sami się o siebie zatroszczą w odpowiednim momencie. Gdy przedź lub później dojdą do posiadania bomb atomowych może właśnie rasa biała będzie ich musiała błagać, żeby nie dzielili ludzkości na rasy lepsze i gorsze.

Jest to ognisko zapalne istniejące w jedynastu stanach południowych Ameryki, które w wojnie domowej z lat 1861-65 dążyły do utrzymania niewolnictwa, a teraz po stu latach chcą przynajmniej utrzymania segregacji rasowej. Jest to również sprawa dyskryminacji rasowej na niektórych obszarach Afryki, zwłaszcza na terenie Afryki Południowej, dziś niepodległej i nie związanej z Wielką Brytanią.

W Afryce Południowej zagadnienie wydaje się bardzo trudne do rozwiązania. Rządzący tym krajem t. zw. Afrikaners, zwani dawniej Burami, potomkowie wychodźców holenderskich, mieszkają już tam trzysta lat i słusznie twierdzą, że nie posiadają innej ojczyzny. Położenie ich jest nierównie bardziej skomplikowane, niż ludności niearabskiej Algieru, ci bowiem mieli zawsze w odwodzie Francję, do której większość obecnie się wyniosła. Afrikaners stanowią zaledwie 25 proc. ludności, a w dziesiętnych czasach trudno stworzyć system zezwalający na stałe utrzymywanie rządów mniejszości.

Poza Afryką Południową czeka jeszcze na rozwiązanie sprawa Federacji Rodezji i Nyassy, niezależnej już dziś prawie od Wielkiej Brytanii. Nyassa rozprawiła się właściwie z Federacją. Posiada obecnie czarny rząd i po prostu odsyła nieodpieczetowane wszystkie pisma rządu federalnego.

W Rodezji stosunek białych do czarnych jest beznadziejny, wynosi jeden do dwudziestu, a mimo to biali osadnicy, przeważnie pochodzenia anglosaskiego, mieszkający tam dopiero od 70 lat, upierają się stanowczo przy swoich przywilejach rasowych.

Wreszcie kwestia kolonii portugalskich Angoli i Mozambiku, gdzie na razie wszystko pozostało po dawnemu z tym, że w Angoli od dwóch lat trwają rozruchy.

Wyzwolenie rasy czarnej jest procesem historycznym, który, gdy raz się rozpoczął nie może już być powstrzymany. Nie można jednak przewidzieć załatwienia wszystkich problemów czarnej rasy, nawet w przybliżeniu. Pozostałości niektórych zjawisk mogą trwać bardzo długo.

Było swego czasu niewolnictwo nazywane hanibą ludzkości nie bez kozery skoro dyskutowano jachow, czy ładować niewolników na statki systemem "łyżkowym", czy "grzbietowym" tj. kładąc ich na boku, czy na plecach. W pierwszym wypadku wykorzystywano lepiej ładowność, ale śmiertelność była większa. Wielka Brytania zniosła niewolnictwo w r. 1833, Stany Zjednoczone w r. 1865, a Brazylia w r. 1888. Nie wszystkim jednak

PODWODNE

szczegól. Amfory były zakorkowane dyskiem z masy wulkanicznej i opieczutowane nazwiskiem producenta czy eksportera wina. Był to niejaki Caius Lassius. Archeolodzy włoscy przypomnieli sobie, że w Pompei znaleziono tablicę nagrobną rodziny Lassius, bogatych i wpływowych patrycjuszów pompejańskich. Wrak, odnaleziony na Riwierze francuskiej ujawnił, że jakich źródeł czerpała ta rodzina swoje dochody. Według wszelkiego prawdopodobieństwa posiadała ona winnice na stoku Wezuwiusza lub w Sorreno. Wyprodukowane wino eksportowała morzem do Gali, gdzie w owym czasie, to jest w pierwszym wieku p. n. e., nie uprawiano jeszcze winnic.

Zgola odmienny ładunek wioził statek kupiecki, którego wrak odkrył jeden z poławiaczy gąbek w pobliżu afrykańskiej wioski rybackiej Mahdia (w Tunisie). Na wiadomość o znalezisku dyrektor muzeum w Tunisie zorganizował ekspedycję archeologiczną, zapewniając sobie pomoc francuskiej marynarki wojennej. Po usunięciu dość grubego osadu piasku, okazało się, że na pokładzie statku leżało 60 marmurowych żłobkowanych kolumn, ułożonych w sześciu szeregach. Dookoła poniewierało się w nieładzie mnóstwo innych fragmentów architektonicznych, jak głowice, bazy i podnóżki kolumn, ociosane bloki, naszczytniki, fryzy, narożniki i szereg innych części, typowych dla budowy greckich.

Była to nie była jaka rewelacja. Wyszłoby bowiem na jaw fakt trudny do uwierzenia, mianowicie, że Grecja eksportowała do innych krajów całe świątynie w częściach prefabrykowanych, obrobionych przez swoich znakomitych kamieniarzy-artystów.

Prace archeologiczne na odkrytym stanowisku podmorskim trwały kilka lat i nie będzie przesady, jeżeli powiemy, że każdy rok przynosił coraz to nowe sensacje. Gdy po wielu trudach wydobyto na wierzch masywne, przeszło trzy i półmetrowe kolumny, zastano pod nimi równą, ciemną warstwę mazi przypominającej il morski. Nie ulegało wątpliwości, że były to zbutwiałe deski pokładu. Co kryło się pod nim, czyli w dawnych lukach statku?

Gdy przy pomocy wysokoprężnych pomp usunięto zbutwiałą masę, nurkowie natknęli się na drugą warstwę kolumn, które kiedyś zostały umieszczone pod pokładem. Ale w innych miejscach, przypuszczalnie w dawniejszych kabinach załogi, wygrzebano amfory, kubki, półmiski, rozmaite przedmioty domowego użytku z brązu oraz metalowe części umeblowania. Między innymi znaleziono lampkę oliwną z okopconym knotem, której kształt i styl był w użyciu w ciągu I wieku p. n. e., co oczywiście pozwoliło ustalić w przybliżeniu datę zatonięcia statku.

Kadłub tego dużego na owe czasy transportowca miał około 50 metrów długości, zajmował przeto na dnie morza dużą powierzchnię. Toteż tylko stopniowo zdolano spenetrować i przebadać wszystkie jego zakamarki. Ale ta mozolna praca sownie się opłacała. Wrak bowiem zawierał największy chytka skarb, jaki znaleziono od czasów odsłonięcia ruin pompejańskich. Było to zdumiewające nagromadzenie arcydzieł greckiej sztuki rzeźbiarskiej, wspaniałych dzieł z brązu i marmuru data najprzedniejszych mistrzów. Ilość ich była tak okazała, że zapełniają one dzisiaj sześć sal muzeum tuniskiego. Wyliczenie ich wymagałoby osobnego katalogu. Warto tu jednak wymienić Erosa z łukiem, Dioizosa i mnóstwo statuetek, wśród których uwagę zwracają groteskowe figurki błaznów widowiskowych i karyków — wszystko odlane w brązie. Jeżeli chodzi o rzeźby

wykute w marmurze, to szczególną szlachetnością duża odznaczają się popiersia Afrodyty, posążki bożka pasterzy Pana, Nioby i dwóch Satyrów oraz tors Efeła naturalnej wielkości. Poza tym znaleziono marmurowe lampki oliwne w stylu neoattycznym, kandelabry i rozmaite ozdoby do mebli z brązu.

Odkrycie tych oszałamiających skarbów sztuki było jednym z największych triumfów archeologii morskiej. Leżały one dwa tysiące lat na dnie morza, a jednak zachowały się do naszych czasów w stanie na ogół zadowalającym. Wobec tego wolno nam zapytać, ile jeszcze skarbów, ile rewelacji historycznych kryją nurty Morza Śródziemnego? Najbliższe lata, w miarę wydoskonalenia techniki nurkowania, powinny udzielić nam na to pytanie niejednej jeszcze odpowiedzi.

Tajemnica tego statku i jego osobliwego ładunku była nad wraku intrygująca. Skąd i dokąd płynął transportowiec i co tkwi w fakcie, że wioził on taką ilość arcydzieł greckich? Odpowiedź na pierwsze pytanie zawarta była w napisie wyrzniętym na odlamku marmuru, który kiedyś stanowił część jakiejś stelli, a później znalazł się między kamieniami tworzącymi balast żaglowca. Inscripcja dotyczyła załogi ateńskiej triery "Paralos", owego świętego okrętu, który stacjonował w Pireusie, by każdej chwili być na usługę państwa.

Już na podstawie tego jednego znaleziska wolno było nam zawyrokoować, że okręt płynął z Aten. Ale we wraku znaleziono jeszcze inne dowody. Tak na przykład posąg Asklepiosa siedzącego przy suto zastawionym stole wraz ze swoją córką Hygieją pochodzi, według opinii historyków sztuki, ze świątyni poświęconej temu bóstwu, która stała ongiś w Pireusie. Co więcej, znalezione we wraku głowy Dionizosa i Ariadne zdobiły podobno narożniki piruskiego arsenału. W końcu wymienić należy również białe, charakterystycznie żyłkowany marmur, z którego wykuto kolumny. Pochodzi on ze słynnych kamieniołomów w górach Hymettos, leżących na połudnowy-wschód od Aten.

WALKA Z GŁODEM

Obecnie żyje na naszym globie ponad trzy miliardy ludzi. Liczba ta, jak obliczają demografowie, w r. 2000 ulegnie podwojeniu. W tej chwili nie grozi nam jeszcze śmierć głodowa, ponieważ wiele gruntów, leżących odłogi, może być uprawionych. Ale jednak sprawa przeludnienia i związanej z tym troski o wyżywienie stanowi już teraz przedmiot badań rządów i uczonych.

Ostatnio dwaj uczeni zachodniomiejscy, prof. Marcin Strell i dr Antoni Kalojanow, dokonali odkrycia, które może doprowadzić do całkowitego zwycięstwa w walce z głodem. Udało się im mianowicie wyprodukować chlorofil syntetyczny.

Jak wiadomo chlorofil jest to zielony barwnik roślin, wykazujący duże pokrewieństwo z czerwonym barwnikiem krwi — hemoglobina.

Rola chlorofilu w życiu rośliny jest niezmiernie ważna, ponieważ stanowi on niezbędny czynnik w procesie fotosyntezy. Kilka słów o fotosyntezie. Rozumiemy pod nią zachodzący w roślinach proces budowy cukru z dwutlenku węgla i wody za pomocą energii fal elektromagnetycznych światła słonecznego. Już dziś możemy odtworzyć laboratoryjnie proces fotosyntezy, ale do tego potrzebny nam jest chlorofil, który rośliny potrafią wytwarzać, my zaś do niedawna nie potrafiliśmy tego robić. W procesie fotosyntezy chlorofil występuje jako katalizator tj. substancja, która przez samą swoją obecność zmienia tj. przyspiesza lub zwalnia szybkość reakcji chemicznej i opuszcza środowisko reakcji w postaci niezmienionej.

Sprawa wyeliminowania chlorofilu z zielonej masy roślin została po raz pierwszy

A więc statek żaglowy płynął z Aten, pod tym względem nie może być żadnej wątpliwości. Jak wykazały niektóre znaleziska, pochodzi on z I wieku przed naszą erą. Gdy archeolodzy to sobie uświadomili, spadła im łuska z oczu. Cenny ładunek był łupem wojennym srogiego wodza i najkrwawszego dyktatora Rzymu Lucjana Korneliusza Sulli, pogromcy stronnictwa plebejskiego i obrońcy arystokratycznego Senatu. Podczas jego rządów wyteplono doszczętnie Samnitów i Etrusków, a na podstawie ogłoszonej przezeń listy proskrypcyjnej wymordowano tysiące obywateli rzymskich, wśród nich 90 senatorów i 2600 ekwitów.

W roku 87 p.n.e. Sulla odniósł zwycięstwo nad wojskiem Mitradata i przystąpił do oblężenia Aten, które nie chciały się poddać. Wyciął wtedy słynne gaje Lykejonu i Akademii Platońskiej, zużywając drzewa do prac oblężniczych. Równocześnie spłądował największe sanktuaria greckie w Olimpii i Delfach, by zdobyć środki na prowadzenie wojny. W marcu 86 roku wziął Ateny szturmem i wydał na łup rozbestwionego żołdactwa. Mordy i grabieże trwały kilka dni, ulice zalegały trupami kobiet, mężczyzn i dzieci.

Sulla puścił z dymem również port ateński Pireus. Arsenał i słynna świątynia Asklepiosa obróciły się w perzynę. Ateny i Pireus z rozkazu zwycięzcy ogłoszono z wielu arcydzieł sztuki i załadowano na kilka statków, by odesłać je do Italii. Jeden z tych transportowców nie dotarł jednak do portu przeznaczenia. Po drodze zaskoczyła go burza morską i zagnała w kierunku Afryki. W niedalekiej odległości od miejsca, gdzie znajduje się wioska rybacka Mahdia, kapitan próbował ratować się przez zarzucenie wszystkich kotwic, jakie posiadał. Niewiele mu to pomogło. Kadłub przeciążonego transportowca szybko nabierał wody i poszedł na dno. Dopiero dwa tysiące lat później natknął się na jego ślad arabski poławiacz gąbek, dokonując w ten sposób największego odkrycia w dziejach archeologii podmorskiej.

(Przedruk z "Przeglądu Kulturalnego")

rozwiązana przez chemika szwajcarskiego Artura Stolla. Po długotrwałych badaniach zdołał on wyizolować z roślin ciemną substancję pachnącą sianem. Trzeba zużyć czterysta kilogramów pokrzywy (nota bene — pokrzywa jest rośliną najbardziej zasobną w chlorofil), aby otrzymać zaledwie jeden gram chlorofilu naturalnego. Ale sprawa produkcji chlorofilu naturalnego nie rozwiązuje zagadnienia walki z głodem. Gdybyśmy chcieli na bazie chlorofilu naturalnego uruchomić proces fotosyntezy laboratoryjnie, trzeba by obsiać olbrzymie obszary ziemi pokrzywą, likwidując tym samym praktycznie inne uprawy. Tylko chlorofil syntetyczny, wyprodukowany tanio, nie wymagający pośrednich ogniw, jak to ma miejsce przy chlorofilu naturalnym, może się ekonomicznie opłacić.

W tej chwili wyprodukowany przez Stollę i Kalojanowa chlorofil syntetyczny jest jeszcze bardzo kosztowny. Ale nie ulega wątpliwości, że prędzej, czy później uda się uprościć proces jego wytwarzania i potanieć produkcję. Wówczas można będzie budować olbrzymie fabryki, w których produkować się będzie w nieograniczonych ilościach albuminy, tłuszcze i witaminy, posługując się w tym celu chlorofilem i występującymi pospolicie w przyrodzie czynnikami, jak: bezwodnik węgla, woda i światło słoneczne.

Zmieni się wówczas całkowicie oblicze ziemi. Znikną złociste lany pszenicy, rzędy kartofli i buraków, trzciny cukrowej i roślin oleistych. Zamiast nich powstaną oleiste lasy, parki i ogrody, pełne wspaniałych kwiatów.

Nie śmiejmy się. Jest to wizja już bardzo niedalekiej przyszłości.

S. Biliński.

PTAKI I OWADY, A LOTNICTWO

Rozwój lotnictwa nie poszedł drogą naśladowania przyrody

Człowiek zastosował w swych maszynach nie ruchome skrzydła, ale szybko obracające się śmigła, a sposób poruszania się samolotu różni się w sposób zasadniczy od lotu ptaka.

Nie oznacza to jednak, że w dziedzinie lotnictwa powinniśmy zrezygnować zupełnie z wzorów, podsuwanych przez przyrodę. Tyle tylko, że należy mniej zwracać uwagi na ptaki, a więcej — na owady.

Jest rzeczą zrozumiałą, że człowiekowi bardziej imponowały ptaki, lecące z szybkością 50 do 100 km godz., niż owady, które nie przekraczają na ogół 15 km na godzinę. Jednakże wskaźnikiem bardziej miarodajnym będzie szybkość względna, którą obliczymy w innych jednostkach, a mianowicie: ile długości własnych przebywa dany obiekt latający w ciągu sekundy. Tu otrzymamy już inne wartości; najnowocześniejsze samoloty pasażerskie będą miały wskaźnik mniejszy od 20, dla najszybszych ptaków wyniesie on od 100 do 150, a owady? Te okażą się bezkonkurencyjne: leniwy chrząszcz majowy będzie miał wskaźnik 170, poczciwa pszczoła — 400, a złośliwy bak — około 1000.

Ciekawe wyniki otrzymali biochemicy, studiujący „zużycie paliwa” u latających owadów. Obiektem badań były pszczoły. Stwierdzono, że pszczoła, lecąca aż 3 kilometry z zebraniem nektarem do ula, spala zaledwie 0,35 miligrama cukru, przenosi przy tym 20 mg nektaru kwiatowego o zawartości 20% cukru. Nie trudno obliczyć, że zużycie paliwa przy tak odległym locie wynosi zaledwie 9% ciężaru ładunku, przeliczonego na czysty cukier.

Dlaczego więc początkowo wzorem dla konstruktorów maszyn latających były nie owady, ale ptaki? Otóż lot owadów okazał się zjawiskiem zbyt trudnym nie tylko do naśladowania, ale wręcz do poznania. Dopiero nowoczesna technika, a w pierwszym rzędzie „szybkostrzelne” aparaty filmowe, dokonujące wielu setek zdjęć w ciągu jednej sekundy, umożliwiły poznanie tajników (nie wszystkich jeszcze!) lotu owadów.

Przedewszystkiem stwierdzono, że szybkość uderzeń skrzydłami jest u różnych owadów rozmaita. Motyle dzienne uderzają 5 — 10 razy na sekundę, ćmy około 40 razy, pszczoły 240, muchy domowe 300, a niektóre komary do tysiąca razy na sekundę.

Okazało się również — co znacznie ważniejsze — że sam charakter ruchów skrzydłami może być bardzo rozmaity. Ogólnie mówiąc — owad bardziej przypomina śmigłowiec o dwóch śmigłach napędowych, niż ptaka. Skrzydło owada podczas jednego uderzenia wykonuje przy tym ruch tak skomplikowany, że skopiowany ze zdjęć filmowych rysunek techniczny zawiera mnóstwo złożonych krzywych, do analizy których potrzebne są nieraz elektronowe maszyny liczące.

A przy tym wszystkim istnieje jeszcze duża różnorodność systemów lotu u różnych owadów. Inaczej latają błonkoskrzydłe, inaczej zaś dwuskrzydłe. Istnieją owady tegopokrywe, którym usunięcie twardych skrzydeł chitynowanych nie przeszkadza w locie, inne zaś bez nich latać nie umieją.

Konstruktorzy lotniczy mogliby u owadów podpatrzeć wiele pożytecznych urządzeń. Tak na przykład wiele włożono wysiłku w skonstruowanie skrzydeł, nie podlegających niebezpiecznym wibra-

cjom. Gdy już dzieło było dokonane, stwierdzono, że byle konik polny sam dawno wynalazł analogiczne urządzenie.

Są również i wypadki, kiedy udało się zastosować w konstrukcjach lotniczych urządzenia, skopiowane z owadów. W amerykańskim czasopiśmie „Aeronautical Engineering Review” opisany jest żyrotron, oparty na zasadzie działania analogicznego urządzenia pod skrzydłami zwykłej muchy domowej; zadaniem żyrotronu jest stabilizacja latającego obiektu w powietrzu.

Dotąd była mowa tylko o szczegółach.

W STARYM KRAJU — W STARYM KRAJU — W STARYM

PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

Sroga zima tegoroczna daje się ludziom szczególnie we znaki. Mróz waha się w granicach od 10 do 30 stopni. Piszą do mnie z Polski (list z 7 lutego), że dzieci już trzeci tydzień nie chodzą do szkoły. Komunikacja na niektórych liniach kolejowych przerwana. Pociągi chodzą z wielogodzinnym opóźnieniem i to jeszcze nie na wszystkich trasach, gdyż potworzyły się ogromne zasypy śnieżne. Z powodu trudności w dostawie odczuwa się ogólny brak węgla.

Dramatyczne wieści nadchodzą z Bałtyku. Morze zamarzło, co zdarza się niezmiernie rzadko. Na początku lutego w Kattegacie pozostało jedynie wąskie przejście u wybrzeży Szwecji. Wiele statków ugrzęzło w lodach jak w okolicach podbiegunowych.

Posłuchajmy co pisze specjalny wysłannik „Życia Warszawy” z Rady Lodowej w Szczecinie:

„W dramatycznej sytuacji znalazł się statek „San” na wysokości Sasnitz. Nieduża ta jednostka utknęła w lodzie w takim miejscu, że nie sposób było pospieszyć jej z pomocą. Po trzydniowym dryfowaniu w lodzie, zaczęło brakować żywności. W nocy ze środy na czwartek kierunek wiatru nieco się zmienił i „San” wydostał się z opresji. W jeszcze gorszych opalach była w tym samym mniej więcej czasie „Proсна”, której kapitan wbrew zaleceniom Rady Lodowej zdecydował się opuścić Świnoujście. Na wysokości Rugii „Proсна” została niemalże przytłoczona zwałami lodu. Kapitan wysłał dramatyczny radiogram z wołaniem o pomoc.

Czy realne jest skonstruowanie „entomoptera” — aparatu latającego, naśladowającego lot owada? Jest rzeczą niewątpliwą, że możliwościom dzisiejszej techniki bliższe jest błonkowe skrzydło owada niż upierzone skrzydło ptaka. Jednakże aparatura nośna owada obliczona jest dla obiektów o małym ciężarze. Na przykład mucha stukrotnie powiększona na pewno nie mogłaby latać.

Toteż badania idą w kierunku skonstruowania małych „entomopterów”, które — sterowane zdalnie z ziemi — wykonywałyby drobne prace badawcze i pomocnicze. Natomiast „entomopter pasażerski” raczej nie wchodzi w rachubę.

(Streszczenie redakcyjne z artykułu Edwarda Karłowicza w „Świecie”).

„Jeśli za godzinę nie nastąpi zmiana wiatru — trzeba będzie opuścić statek” — brzmiała depesza. I tym razem także szczęście dopisało załodze niemalże w ostatniej chwili...

Do tej pory natomiast nie wiadomo, co się dzieje z „Kaliszem”, który wyruszył z Rosstocku pod dosyć nieszczyśliwą gwiazdą. Z uwagi na trudności, nie mógł tam bowiem otrzymać dostatecznej ilości paliwa. Port zapewnił mu także jedynie na bardzo krótko asystę łodolamacza. Jakies 20 mil od brzegu był już zdany wyłącznie na własne siły. A warunki nawigacyjne były coraz gorsze. Zwały kry i lodu utrudniały poruszanie, mimo że maszyna pracowała na pełnych obrotach. Czy „Kaliszowi” wystarczy paliwa do czasu aż znajdzie się w Kanale Kilońskim?

Rada Lodowa otrzymuje kolejny meldunek. Tym razem woła „Malbork”, który znajduje się na wysokości Sundu. I tu także sytuacja niewesoła, tym bardziej że statek ma poważnie uszkodzoną śrubę. Płynie dalej o własnych siłach, licząc że pomoże mu konwój prowadzony przez „Perkuna”. Ale „Perkun” i towarzyszące mu „Ina”, „Wieczorek” i „Proсна” plus cztery małe trawery rybackie — ugrzęzły we mgle pod Świnoujściem.

Wobec wyjątkowo ciężkiej zimy wszystko inne odsunęło się w kraju na dalszy plan. Ludzie opatulają się w co mogą, narzekają, bo i z żywnością krucho z powodu mrozów i chorują. Przeciębienia, a nierazko zapalenia płuc sieją zwłaszcza spustoszenia wśród starszych osób.

(as)

NOWI LUDZIE

Lota powojenne dokonały poważnej przemiany w strukturze ekonomicznej ludności w Polsce. Wielka liczba chłopów wyemigrowała do miast. W niektórych ośrodkach przemysłowych jak np. w Nowej Hucie większość mieszkańców to przybysze ze wsi. Jak żyją ci ludzie i jak się czują w nowych warunkach? Na pytanie to stara się odpowiedzieć na łamach „Świata” Aleksander Ziemi-ny.

Ziemi-ny zawarł znajomość w Nowej Hucie z emerytowanym nauczycielem p. L., który posiadając łatwość obcowania z ludźmi stał się powiernikiem wielu byłych chłopów. Oto co opowiada p. L.:

... Przychodzi dama, pięknie ufarbowana, wszystko, co ma na sobie, wzięte, rzekłbyś, prosto z żurnala mód, a w każdym razie szyte na miarę. Tylko krępa twarz zdradza, że pierwszy okres życia upłynął tej pani w

malowanej na sivo podkrakowskiej albo rzeszowskiej chacie. Profesor upewnia się o tym już po kilku wstępnych zdaniach rozmowy. Młoda osoba zaznacza nie bez satysfakcji, że zwidziała w zeszłym roku Drezno i Lipsk i regularnie chodzi z mężem w Tatry słowackie. Córeczkę wysyła latem nad morze, razem z małą gromadką dzieci, pod opieką specjalnie wynajętej wychowawczyni. Siedemdziesiąt złotych dziennie. Prawda, spory wydatek, ale na kolonii łatwiej o koklusz albo szkarlatynę... O profesorze słyszała wiele dobrego, przechodzi z polecenia N. N., bo chciałaby zorientować się, jak to naprawdę wygląda z tą... przemocą fizyczną. Rozumie dobrze, że mąż, kiedy w nerwach, podniesie na nią rękę, ostatnio jednak zdarza się to coraz częściej i trwa coraz dłużej. Czy istnieją — pyta serio — jakieś normy, do ilu uderzeń wolno, no, rodzinnie, po małżeńsku, a od ilu razy podlegałoby to jakiejś karze lub

naganie. Chociaż nie, za nic w świecie nie pójdzie z donosem! Sąsiadkę, co wezwiała raz milicję, wzięli wszyscy w osiedlu na języki, ob smarowali do gruntu, a jej mąż paraduje ciągle hardy i niepoprawny, i jeszcze bardziej ją zamęcza. Gdyby szło o drobne sinia-ki, niech tam, można przetrzymać, ale nieraz zdarza się uszkodzenie poważne, wymagające pomocy medyka, a kobiecie wstyd chodzić w takim stanie do lekarza.

... Na widok zwałistego mężczyzny, o twa-ry naznaczonej szramą, profesor aż struch-łał. Ale już pierwszy kontakt słowny za-przecca pozorom, ukazuje wyłącznie obronne nastawienie tego człowieka, co więcej, jego lek i zagubienie. Trudno dociec, czy chod-zi tu o jedno tylko ognisko troski; być może w życiu koleżeńskim czy zawodowym zachowu-je się on tak, jak wskazuje na to wygląd. Przybysz jest drobnym urzędnikiem, do nie-dawna pracował fizycznie w bazie remonto-wej i za produkcyjne zasługi spotkał go a- wans (!!). Najgorsze, że ludzi się on napraw- dę swoją "honorową" pozycją.

Otóż wszystkie myśli tego człowieka krą-żą uparcie i bez pożytku wokół spraw 16-let- niego syna. Cóż takiego się stało? Ni mniej ni więcej, tylko syn wyeksmitował rodziców do kuchni 3 x 2 metry, sam zaś objął pokój mieszkalny w niepodzielne władanie. Gospo- darstwo syna przypomina po części skład od- padków technicznych, po części stajnię. Jed- ną ze ścian podpiera rozbity w czasie prze- jazdki motorower "Żak", prezent imienio- wy od rodziców. Środek parkietu zalegają kupy śrubeł, gwintów, kluczy, zepsute przy- bory do nurkowania — w towarzystwie bu- telek i rozbitej porcelany. W każdym rogu pełno przesyconych oliwą szmat i pakul.

Jeżeli rodzice mają czasem odwagę zapro- testować, bo wyrzuca ich ze snu — w kuchni — odgłos synowskich hulańek z udziałem dziewczyn, wówczas chłopak besztuje ich i gro- zi sadem. Są teraz ustawy na "starych" — woła — kto staje przeciwko własnym dzie- ciom i ma w nosie ich potrzeby, temu mogą odebrać prawa rodzicielskie, a jak za nadto upiera się przy swoim, gotów nawet zarobić dwa lata "kozy"!

... Wizyta, która szczególnie mocno utkw- iła w pamięci i zmusza często do tego, by wracać do niej myślą. Gość, z lekka łysieją- cy trzydziestolatek, od pierwszej chwili budził szczerą sympatię. Widać od razu, że techni- ka i w ogóle problemy zawodowe to najwa- żniejsza ośnoś jego dążeń i ambicji. Jakże by inaczej: dzięki pracy i nauce zaocznej do- szedł w ciągu sześciu lat od punktu dosłow- nie zerowego do stanowiska kontrolera tech- nicznego oddziału. Krótko mówiąc, doskona- ły specjalista-formierz; za rok lub dwa, gdy uzupełni studia, przekroczy granicę — jaka dzieli fachowca-praktyka od inteligenta w pełnym znaczeniu tego słowa.

Trzy lata temu wysłuchiwał często docin- ków ze strony kolegów. No dobrze, bracie, robotę ci się chwali, zajdziesz pewnie wy- soko, ale pora by już najwyższa na żeniacz- kę. Inaczej gotowiśmy pomyśleć Bóg wie co, że u ciebie coś tam nie w porządku...

Tak więc wziął urlop i pojechał któregoś dnia do rodzinnej wsi w miechowskie — święcie, dawny majątek Morstinów — żeby rozejrzeć się za kandydatką. Nie dlatego, żeby tryb życia miejskich "babek" budził w nim jakies zgorznienie. Owszem, można się z nimi ostro i wesoło zabawić, co innego jed- nak wspólny dach na długie lata. Żonę po- winno się brać z "trzeciej między", nie da- lej: ufał temu chłopakowi przykazaniu swo- ich rodziców. Dla niepoznaki kręcił się przez kilka dni między sąsiadami, którzy mieli córki na wydaniu, ale w gruncie rzeczy konkury miały określony cel; dotyczyły wy- branej już przedtem — w myślach — dziew- czyny, o której wiedział, że sprzyja mu od dawna. Miała wtedy 19 lat, a gdy dowiedział się ku swojej radości, że wciąż jeszcze jest

"Psia buda" z czarną kawą

Uroczą kawiarnię warszawską na Sta- rym Mieście, w której spotykają się przy- jaciele zwierząt i Schronisko dla Bez- domnych Psów w Pruszkowie pod War- szawą dzieli dość znaczna odległość. Oba patronuje Towarzystwo Przyjaciół Zwi- erząt; i tu i tam spotykają się ludzie i psy, obie placówki pielęgnują dobre uczucia ludzkie. A jednak... Jednak i kawiarnia i schronisko skłaniają do rozmyślań. O- czywiście — lepiej w kawiarni na Starym Mieście.

Stosunek ludzi do zwierząt wydaje się czasami bardziej różnicowany niż sto- sunek człowieka do człowieka. Bo, we- dług wersetu Biblii, zwierzęta zostały da- ne człowiekowi na pożytek jego, biblia, a samo życie człowieka walczącego od- zarania swych dzieł z przyrodą, ten właśnie użytkowy stosunek człowieka do zwierząt do ciężkiej pracy, zabijamy je i spożywamy ich mięso, niszczymy gdy zagrażają naszemu życiu i bezpieczeń- stwu. Obok jednak tej utilitarnej posta- wy człowiek potrafił zdobyć się na inną; podobieństwo życia biologicznego, obja- wy "duszy" czy psychiki zwierzęcia skło- niły człowieka do uczynienia zeń towa- rzysza zabaw, przyjaciela, powiernika, o-

bronę. Pewne cechy zwierzęcia, zwłasz- cza zdolność żywienia i okazywania u- czuć umożliwiają, a cechy ludzkie, które posiadamy, nakazują miłość i przyjaźń dla zwierząt, rodząc do nich stosunek u- czuciowy. Jest to stosunek dość jednak różny od stosunków uczuciowych mię- dzy ludźmi. Zwierzęta bowiem są na o- gół podległe człowiekowi, zależne odeń, a ich pewna niższość i bezmowność umo- żliwiają np. kochającej kota dziewczyn- ce — raptowne zrzucenie go z kolan, lub też pozostawienie na cały dzień w sa- motności. Zwierzę jako obiekt naszych uczuć jest bardziej wygodne, dużo łat- wiejsze w "używaniu" niż inne, ożywo- ne obiekty.

Za zwierzęta najbliższe towarzyszące ży- ciu człowieka i będąc przeto najczęściej obiektem jego uczuć zwykło się uważać drobne zwierzęta domowe — psy, koty, ptaki, dużo rzadziej rybki. Na temat sto- sunków łączących ludzi z tymi zwie- rzętami istnieje wcale pokaźna literatu- ra piękna, istnieją przepisy prawne, wy- mogi obyczajowe, setki opowieści i ane- dot. Koń, krowa, wielbłąd, ptactwo do- mowe, owce, kozy, osiołki — to grupa zwierząt trochę inaczej współżyjących



Z jednego miotu.

wolna, nie zwlekał już długo z oświadczy- niami.

Teraz minęło już od ślubu dwa i pół roku. Byłoby na pewno przesadą orzec, że jest to człowiek zupełnie załamany; zbyt mocno je- go psychika zrosła się z żywiołem pracy, aby dziś nie umiał znaleźć w niej ucieczki. Nie- mniej przecież gnębi go wielkie zmartwienie, połączone z uczuciem niczym niewytłuma- czonej krzywdy. A co gorsza, nie widać w tej sprawie winowajcy.

Podczas gdy człowiek ten nadal, po słu- cie, tkwił po uszy w robocie, żona przeobra- ziła się w ciągu jednego roku z wiejskiej poczwarki w lekkomyślnego miejskiego mo- tyla. Nie pracuje, wolny czas pozwala jej na długie seanse u krawcowej, zakupy dro- gich przedmiotów, nawiązywanie rozle- głych znajomości, już nawet o charakterze snobistycznym. Skok z jednej formacji w drugą, którą znamionuje powierzchowny szyk i dostatek, nastąpił z pominięciem wszelkich ogniów pośrednich. Pod względem rangi towarzyskiej żona, tak samo surowa wewnątrz i nieuczona jak przed trzema laty, góruje dziś o całe niebo nad swoim mę-

żem. I coraz wyraźniej rwie się między nimi porozumienie, właściwie rozchodzą się już w przeciwnych kierunkach. "Żyjesz jak kret" — mawia żona, a on nie umie temu zaprzeczyć, bezradny, nieprzygotowany na komplikacje i gwałtowne zakręty w życiu o- sobistym. Więc może na darmo ta cała ha- rowka — zastanawia się — może trzeba było zaczynać z innego końca?

Jakie jest zdanie p. L. o tych ludziach, o ich sposobie życia, tragediach i dążeniach. Otóż p. L. uważa; że: "są ludzie bezradni, jak dzieci. Pozbawieni najprostszej busoli. Bardziej dzisiaj bezradni, niż sześć, czy sie- dem lat temu, gdy tutaj, w Nowej Hucie, czuli się jeszcze chłopami i nie wstydzili swo- jego chłopskiego obyczaju".

"Istnieje wielka rozbieżność pomiędzy: "stylem życia, życia na pokaz, a własnym prywatnym zbiorem przykazań. Jest on, nie- stety, więcej, niż skromny, niezdolny do udźwignięcia poważniejszej decyzji lub do aktu wyboru w życiu osobistym. Gdzież tam mówić o zwartym porządku moralnym lub ładzie serca..."

SKARBY OAZY W WARSZAWIE

z człowiekiem. Czerpie on z nich przede wszystkim korzyści, mało kiedy hodując je wyłącznie dla przyjemności. Ale też na stosunku człowieka do tych zwierząt znajdujemy wyraźne znamię szacunku, którego brak prawie zupełnie w odniesieniu do kotów i psów. I tu nie brak literatury wszelkiego rodzaju, norm, opowieści. Najpiękniejsze oczywiście są bajki, w których spotykamy wyraz pragnienia człowieka porozumienia się ze zwierzęciem, objawy przyznawania mu cech właściwych tylko człowiekowi, a więc myśli i mowy. Śliczne są opowieści o odzyskiwaniu przez zwierzęta mowy w czasie świąt Bożego Narodzenia, opowieści bardzo lubiane przez dzieci.

W stosunku człowieka do tej grupy zwierząt znajdujemy również wcale imponujące elementy uczuciowe: widziałam niedawno gazdę, płaczącego nad swym padłym koniem. Gazda zapijał swój ból gęsto, ale też mówić potrafił o tym koniu! Żal, smutek, podziw i szacunek dla towarzysza pracy, przekonanie, że "drugiego takiego już nie znajdę" miały wyraz głęboko wzruszający. A ileż lez wyleją dzieci nad gaską siodlatą, nad kurą zielononóżką, owcą czy cielakiem, gdy isć one muszą pod nóż.

To są dobre uczucia i często poznajemy po nich człowieka. Znamy i złe, bo żywot zwierzęcia podległego złemu człowiekowi, niezdolnemu do uczuć i możliwości zrozumienia musi być nad wyraz ciężki.

Podobno obecnie stać nas na więcej uczuć wobec zwierząt, podobno bardziej je i chętniej kochamy niż kiedykolwiek. Dowodem tego może być choćby kawiarnia Towarzystwa Przyjaciół Zwierząt, czy też Schronisko dla psów bezdomnych, a jeszcze bardziej — stale wzrastająca ilość zwierzątek hodowanych w domach rodzinnych. Pięwo zabrania dręczenia zwierząt, a działalność instytucji powołanych do czuwania nad losem zwierząt — i losem duszy ludzkiej wystawionej na próbę wartości wobec obiektu tak mu podległego — niewątpliwie spowodowała wiele przemian w życiu zwierząt i w nas samych. Podobno jesteśmy dzięki temu trochę lepsi. Ale chyba tylko o tyle, o ile nasza miłość do zwierząt nie jest wyborem łatwiejszej drogi w życiu uczuciowym.

Stosunek człowieka do zwierząt daje również asumpt do rozmyślań natury filozoficznej. Tak właśnie pisał niedawno młody poeta i publicysta polski J. Sito. Mały kotek bowiem, bezdomny i bezbronny, gdy przybłąka się pod nasze drzwi, stać się może dręczącym problemem. Wpuścić go, przyjąć do domu? To dobry uczynek, ale z rzędu tych, które surawic mogą kłopot. Wypędzić, przejść obojętnie — to przecież skazać go na tułaczkę, na śmierć. Rośnie w nas poczucie winy, bo już wokół tylu spraw przeszliśmy obojętnie, nie chcąc obarczać się nimi — tak jak owym kotkiem. To bardzo piękne przypomnienie o istocie ludzkiej postawy, nie tylko wobec zwierząt.

Optymiści twierdzą, że człowiek, stając się coraz lepszy dla zwierząt, daje w ten sposób wyraz całości swej postawy moralnej. I sądzą, że ten człowiek staje się coraz bardziej zdolny do decyzji mądrzej i przyjaźniej w sprawach ludzkich.

W kawiarni na Starym Mieście chętnie i często spotykają się przyjaciele i miłośnicy zwierząt. Przyprowadzają ze sobą psy, choć podobno można przyjąć tu i z innymi małymi zwierzątkami. Ale kotów tu nie widać. Pieski zachowują się bardzo grzecznie, są dobrze wychowane, spokojne o swój los, ufne wobec obcych ludzi. Pobędą sobie w kawiarni,

Wszyscy zwiedzający zatrzymują się przed Archaniołem Michałem, który — w złocie i czerwieni — gromi zbuntowane anioły. Twórca malowidła nie mógł zamknąć fantazji na wyznaczonej płaszczyźnie; przeniósł więc ogon archaniołskiego rumaka na sąsiednią ścianę.

Artysta żył w VIII wieku naszej ery. Malował swoje dzieło na murach najstarszej chrześcijańskiej świątyni, zbudowanej w pustynnej Nubii. Dzisiaj oglądamy to wspaniałe bizantyjskie malowidło w Muzeum Narodowym w Warszawie. W ubiegłym roku przywieźliśmy je z Nubii, z Sudanu, z dzisiejszej miejscowości Faras. Jest własnością Polski. Jak do tego doszło?

Wystawa, na której pokazano Archanioła Michała nosi tytuł "Polskie wykopaliska archeologiczne w Egipcie i Sudanie". Tytuł wystawy odpowiada częściowo na nasze pytanie. Ale, żeby sprawę dobrze wyjaśnić, trzeba się cofnąć o ćwierć wieku wstecz. Bowiem właśnie wtedy warszawskie Muzeum Narodowe rozpoczęło badania archeologiczne na terenie świątyni starożytnego.

Pierwsze prace wykopaliskowe w Edfu prowadziliśmy wspólnie z Instytutem Francuskim Archeologii Wschodu w Kairze. A ekspozycja planów pierwszej wyprawy, otwarta w Warszawie w 1937 roku, wzbudziła ogromne zainteresowanie. Wyczerpano trzy nakłady przewodnika po wystawie!

Polsko-francuską ekipą archeologiczną, pracującą w Edfu, kierował profesor Kazimierz Michałowski, który jest dzisiaj zastępcą dyrektora Muzeum Narodowego i kierownikiem Galerii Sztuki Starożytnego Muzeum. Parę miesięcy temu profesorowi nadano tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu w Strassburgu. Otóż profesor Michałowski zyskał w Egipcie wielki autorytet. Gdy w 1956 roku konflikt suezki położył kres większości wypraw archeologicznych do Egiptu, profesorowi Michałowskiemu udało się otrzymać koncesję na prowadzenie wykopalisk w miejscowości Tell Atrib w delcie Nilu. Prace te przyniosły ciekawe wyniki. Między innymi odkryto gigantyczne urządzenia wodno-lądowe z II i III wieku naszej ery. Osiągnięcia polskich archeologów wywołały wielkie zainteresowanie. Za tym zaś poszły zaszczytne propozycje. Polskiej Stacji Archeologicznej w Kairze powierzono m. in. rozbiorke świątyni Debōt w egipskiej Nubii. Zabytek ten był skazany na zalew wodami Nilu. Polscy specjaliści kierują pracami nad rekonstrukcją wspaniałego zabytku starożytnego Egiptu — świątyni królowej Hatshepsut w Deir el — Bahari.

Dobra pozycja, jaką mają w basenie śródziemnomorskim polscy archeolodzy, sprzyja otrzymywaniu interesujących

gdzie ciepło i ludzie dobrzy, a potem wrócić do domu. Trochę inaczej dzieje się ich krewniakom w Schronisku dla psów bezdomnych. Właściwie nie są już one bezdomne, bo każdy z nich ma własną budę, chroniącą przed niebezpieczeństwami życia prawdziwie bezdomnego. I choć litościwa ręka ludzka chroni i żywi również i te psy, są one chyba mniej szczęśliwe, gdyż nie zdołały dowieść żadnemu człowiekowi, jak bardzo warte są uczucia i jak bardzo jest im ktoś potrzebny do wyłącznego kochania. Ale cóż — i jedną i drugą placówkę stworzyli ludzie, nie psy.

REGINA GODLEWSKA

koncesji. Sprzyja temu także baza materialno-organizacyjna, jaką jest Polska Stacja Archeologiczna Uniwersytetu Warszawskiego w Kairze. Dzięki tym warunkom mogliśmy sięgnąć dalej na południe — do legendarnej Palmyry na dawnym szlaku karawan i do Sudanu. W Palmyrze odkryliśmy ciekawe grobowce i rzeźby. Skorygowałam błąd, jaki popełnili badacze niemieccy, określając bieg starożytnego miasta. Znaleźliśmy wspaniałe skarby złotych monet i klejnotów — pierwsze tego rodzaju odkrycie w Palmyrze. W Sudanie, w oazie Faras, wydaliśmy piachom wielką ilość kamiennych bloków, pokrytych reliefami i inskrypcjami. Te właśnie bloki (kilkanaście z nich oglądać możemy na wystawie) stanowiły kiedyś ściany świątyni, ufundowanej przez Faraona Totmesa III (1483 - 1450 rok przed naszą erą). I w tym samym Faras odsłoniłszy nieznane nikomu wspaniałe bizantyjskie freski, których fragmenty można oglądać w Warszawie.

Dziwne są polskie drogi. Archeolodzy, kopiący w Faras, wspominali sobie "W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza. Bowiem za czasów buntu Mahdiego, który opisywał Sienkiewicz, na zrębach chrześcijańskiej świątyni powstała arabska twierdza. Anglicy, którzy w XIX wieku badali ruiny fortu, nie doszukanili się tam niczego godnego uwagi. Teraz, gdyśmy odkryli malowidła (ponad 60 fresków) sam kustosz British Museum w Londynie zapowiedział swój przyjazd do Faras!

Prace w nubijskiej oazie pełne są napięcia. W 1964 roku teren wykopalisk zalany zostanie wodami Nilu — w związku z budową wielkiej zapory. Trzeba ewakuować zabytki. Konserwatorzy nasycają malowidła grubą warstwą wosku, odkuwają ze ścian i przenoszą na drewniany podkład. Tak właśnie zdjęty został ze ścian Archanioł Michał. Polska ekipa dwój się i troi, a musi jeszcze pokazywać freski wycieczkom, które zjechały z Sudanu oglądać te rewelacje. Zimowa Warszawa i gorąca Nubia podziwiają w jednym czasie te same wspaniałości, wykradzione ziemi. Zabytkowa świątynia ma przedsięwzięcie w Warszawie, nawet w Faras. Za sprawą archeologów dokonujemy niezwykłych podróży nie tylko w czasie, ale i przestrzeni!

Dzięki pracy naszych archeologów możemy oglądać w Warszawie wytwory kultur, o których uczuliśmy się z podręczników szkolnych. Strzelista kolumna z zielonkawego marmuru ze śnieżnym kapitelem, ustawiona w wysokim hallu Muzeum, a przywieziona z Tell Atrib, więcej nam powie o stylu korynckim, niż zawiły wykład. Wspaniałe meroickie gzyms portalcowy z Faras (podobnym nie może się pochłubić żadne europejskie muzeum), na którym wyobrażono rząd węży z dyskami słonecznymi na głowach — to cała lekcja harmonii. Drobne figurki, naczynia, amulety mówią o zwyczajach i życiu codziennym ludzi, którzy ich używali. Niektóre dzbanki wydają się podobne do polskiej ceramiki ludowej. A ułamana głowa glinianego kogutka z Faras przybliży nam bardziej tamten świat niż całe tomy literatury.

Nie więc dziwnego, że społeczeństwo interesuje się polskimi wyprawami archeologicznymi i cieszy z osiągnięć naszych "kopaczy". Są to bowiem nie tylko nasze polskie sukcesy, ale także sukcesy międzynarodowej nauki, kultury i współpracy.

MALGORZATA SZEJNERT

Warszawskie kalendarze

Kalendarze znane są w Polsce od dawna. Dziś, gdy kalendarza używa każdy człowiek, przybrał on wieloraką postać; jest małym kalendarzykiem kieszonkowym, informującym najprościej o podziale roku na miesiąc, tygodnie i dni, o fazach księżyca, rocznicach i imieninach, jest zróżnicowanym profesjonalnie, terminatorem zajęć, jest wreszcie — jak był od wieków — książką i czasopismem zarazem. Pierwsze drukowane kalendarze polskie, zwane almanachami, wydane zostały w Krakowie w latach 1494 i 1495. Ułożone przez Michała z Wrocławia należą do najstarszych książek polskich i są prawdziwymi zabytkami literatury i piśmiennictwa. Bardzo stare są również "reguły kalendarzowe" z 1506 r. ułożone wierszem przez Jana Głogowczyka.

Kalendarze warszawskie ukazywać się zaczęły później niż krakowskie; były też od nich dość odmienne, bo mniejszą wagę przywiązując do danych z astrologii, więcej miejsca poświęcały sprawom politycznym państwa polskiego. Stare kalendarze warszawskie zawierały więc część urzędową, wymieniały w spisach władze krajowe, genealogię panujących w Europie władców, podawały informacje z geografii i statystyki ziem polskich. Miały też te kalendarze część historyczną i literacką, a podając mnóstwo aktualnych wiadomości, tworzyły dzięki temu kronikę najważniejszych wydarzeń danego roku. Starannie redagowane, były też pilnie czytane przez publiczność, która z zaufaniem się do wiadomości kalendarzowych odnosiła. Do dzisiaj książki te stanowią dla nauki cenny materiał. Oczywiście, przynosiły kalendarze również wiadomości zawodne, a to w dziedzinie wskazań co do dni jeralnych i szczęśliwych, oznaczania czasu dogodnego do puszczania krwi, stawiania baniek, brania kąpiei, sadzenia drzew, zasiewania pól itp. Stąd zapewne staropolskie powiedzenie "kalendarz — wielki łgarz". Ale w zasadzie kalendarze prawdziwie warszawskie ukazujące się od 1738 roku, zarówno te wydawane przez jezuitów jak i pijarskie, miały opinię bardzo dobrą, równając się poziomem z najlepszymi wydawnictwami Europy w tej dziedzinie.

Od 1760 r. wychodził w Warszawie "Kalendarz warszawski", wydawany przez jezuitów, a w parę lat później do wydawania kalendarzy przystąpili również księgarze i drukarze warszawscy, bardzo wzbogacając ich treść. Tytuły były różne; zwano je historycznymi, politycznymi, zwano je też dość wcześnie rocznikami. Stawał się więc kalendarz coraz bardziej książką o dość powszechnej użyteczności, a jednocześnie jakgdyby czasopismem rocznym. W "Kalendarzu warszawskim politycznym i historycznym" na rok 1797 pojawiła się kronika roku 1795, znajdując powtórzenie w tymże kalendarzu na rok 1798, podano tu kronikę wydarzeń roku 1796.

O ile pierwsze kalendarze polskie przygotowywane były na wiele lat, kalendarze warszawskie szybko przyjmują charakter wydawnictw rocznych. Tak więc w latach 1826-1830 nakładem znanego wydawcy N. Gluchberga ukazywał się "Przewodnik warszawski" zawierający część polityczną i handlową, a drukowany w języku polskim i francuskim. Długo, bo od 1830 do 1849 r. ukazywały się "Kalendarzyki polityczne" redagowane przez Fr. Radziszewskiego, zawierające rokrocznie opisy zamków i zabytków na ziemiach polskich. W "Kalendarzyku" tym na rok 1839 ukazał się "Rys statystyczny Królestwa Polskiego", a każdego roku, podawano różne dane statystyczne.

Od 1862 r. zaczęły ukazywać się kalendarze Ungra, cieszące się dużym powodzeniem przez parę dziesiątków lat. O pomyślności i dużej

wartości tych kalendarzy świadczyć może ich nakład, sięgający kilkunastu tysięcy egzemplarzy. Właśnie od tych czasów kalendarze warszawskie stawały się coraz wyraźniej książkami i informatorami o Warszawie. Zawierały dużo materiału ważnego dla Warszawiaków, jak np. spisy kamienic warszawskich z nazwiskami właścicieli, spisy i reklamy firm warszawskich, lekarzy, adwokatów, różnych instytucji użyteczności publicznej, adresy redakcji czasopism itp. Wzbogacone życiorysami słynnych ludzi, wspomnieniami historycznymi z dziejów Warszawy, rozprawkami literackimi i krytycznymi — były kalendarze warszawskie i ciekawą książką i dobrym informatorem. Przykładali do nich ręki dobrzy i najlepsi pisarze polscy; redaktorem jednego z kalendarzy był przed stu laty sam J. I. Kraszewski.

Dużym uznaniem cieszył się "Kalendarz warszawski" wydawany przez Pogotowie Ratownicze Warszawy; wychodził on przez szereg lat, aż do wybuchu I wojny światowej. W czasie I wojny światowej spośród kalendarzy warszawskich wyróżnić należy "Kalendarzyk historyczno-polityczny m. st. Warszawy", wydany w 1916 i w 1917 r. Bardzo ciekawy jest ten z roku 1916, zawiera bowiem dużo informacji o Warszawie w pierwszych latach wojny; kronikę wydarzeń roku 1914, opis ówczesnych instytucji i ich działalności, mnóstwo informacji o prasie warszawskiej itp.

Do dziś dnia kalendarze warszawskie utrzymały szereg dawnych dobrych tradycji. Powojenne kalendarze warszawskie "Stolicy" podjęły tradycję informacji o Warszawie takiej, jaką wówczas była. Nie zaniedbano jednak i innych tradycji, publikując materiały stanowiące od dawna o charakterze kalendarza — książki do czytania dla wielu ludzi. Kilkuletnia przerwa w wydawnictwie kalendarza "Stolicy" odbiła się wieloma zmianami na jego kontynuacji w 1955 r. Dziś, gdy mamy już przed sobą "Warszawski Kalendarz Ilustrowany" na rok 1963 szczególnie wyraźnie widzimy zmiany, które

do dziejów warszawskich kalendarzy wprowadziło życie. Kalendarz na rok 1963 jest już prawdziwą książką: Calendarium skrócone do minimum, informacja rozpadła się na dwie części. W pierwszej mamy opracowania rozwinięte acz rzeczowe, dotyczące historii, kultury, teraźniejszości i najbliższej przyszłości Warszawy. Druga część, to osobna wkładka, będąca małym informatorem ściśle miejskim, dotyczącym "użytkowania" Warszawy, a więc przejrzyście pouczającym o komunikacji, hotelach, restauracjach, obiektach, które warto zwiedzić, teatrach, kinach, pomnikach, kościołach, parkach, obiektach sportowych, instytucjach i urzędach, księgarniach i różnych sklepach oraz najbliższych okolicach stolicy.

Jednocześnie stają się kalendarze warszawskie swego rodzaju encyklopedią. Piękny kalendarz "Stolicy" na rok 1959 zawierał dwa bardzo duże działy encyklopedyczne: nieocenioną, przygotowaną po raz pierwszy, na podstawie prasy warszawskiej "Kronikę wydarzeń w Warszawie 1945 — 1958". Kronika ta obejmuje 65 stron druku petitem i rejestruje w zasadzie wszystkie najważniejsze fakty tych lat. Drugi dział encyklopedyczny to "Warszawa dzisiejsza od A do Z", prezentujący aktualną informację dotyczącą władz i instytucji stołecznych, życia miasta, stowarzyszeń i placówek kulturalnych, naukowych i społecznych. Podobnie encyklopedyczny dział zawiera kalendarz na rok bieżący; dział ten kontynuuje prezentację warszawianek i warszawiaków, odgrywających znaczącą rolę w życiu Warszawy.

Jak dawniej, tak i dziś kalendarze warszawskie stanowią wycinek działalności wydawniczej, dziś może mniej doniosły wobec ogromnego rozwoju i nasilenia akcji wydawniczych czasów współczesnych. Są też i dzisiaj kalendarze dokumentem kultury, chociaż — tak jak przed wiekami — współczesni sięgają do nich przede wszystkim jako do źródeł aktualnej informacji. Jeśli ktoś chce poznać życie wczorajsze stolicy Polski i przychwycić jej chwilę bieżącą, warto zajrzeć do kalendarzy warszawskich.

KRYSTYNA KRZYMOWSKA

Jeszcze o Krzysztofie Arciszewskim

Dr. Mello Moraes w swej "Chronica Geral do Brasil" podaje fakt, który nie wiem, czy został wspomniany przez Michała Rusinka w jego książce o Arciszewskim pt.: "Muszkieter z Itamarica", ani też w dziele Stanisława Fischlowitza.

W kronice wydarzeń, które zaszło w Brzyli w r. 1635, pisze Meilo Moraes co następuje:

"W czwartek dnia 15 lutego 1635 r. generał holenderski Segismundo zajął Moribeca i São Lourenço, a w niedzielę palmową dnia 1 kwietnia 1635 r. pewien strzelec pernambu-

kański spotkał w czasie natarcia generała Artyoski (Arciszewskiego) i podniósł broń, aby go zabić. Generał krzyknął i poddał się wręczając szpadę strzelcowi i zbiegło się to w czasie, gdy Brazylijczycy brali nieprzyjaciół do niewoli.

Strzelec, osłepiony chwałą, prowadził tryumfalnie trzymając za wodze jeńca Artyoski (Arciszewskiego), który jednak zrobił za ledwie kilka kroków i korzystając z nieuwagi swego strażnika uderzył go silnie buławą i zdołał osiągnąć galopem teren swego obozu wiska".

PINIOR

Automecânica ITPOL Ltda.

OFICINA AUTORIZADA SIMCA DO BRASIL

Naprawa ogólna samochodów SIMCA oraz karoserii.

Malowanie nadwozi. Wykonanie solidne.

Posiadamy nowe wozy "Chombord", które sprzedajemy z gwarancją 8 miesięcy.

Rua Oscar Freire, 1965 — Telefon: — 80-1390

POGOTOWIE W DZIEŃ I W NOCY.

SÃO PAULO.

ODBLASKI POWSTANIA STYCZNIOWEGO W BRAZYLII

Stulecie Powstania Styczniowego przywołuje na pamięć dwa doniosłe fakty związane z dobą pionierską naszych osad w Brazylii.

Pierwszy z tych faktów wiąże się z osobą 24 letniego Sebastiana Wosia, syna Szymona i Jadwigi z Kampów, rolników w Siótkowicach pod Onołem nad Odrą.

W r. 1868, w pięć lat po wybuchu Powstania, Woś wylądował w Montevideo nie znalazł tam jednak żadnych widoków na przyszłość. Nie było innej rady jak powędrować dalej. Ale dokąd? Młody emigrant stanął na rozdrożu.

Przez La Platę prowadził w owe lata ożywiony szlak transportów wojskowych, podążających na pola bitew w Paragwaju, a w transportach tych zarówno brazylijskich, jak i argentyńskich — nie brakło Polaków. Byli to rozbitkowie Powstania Styczniowego zwerbowani pojedynczo lub grupowo przez armię brazylijską bądź argentyńską. Rozglądającemu się w prawo i w lewo Wosiowi nadarzala się okazja popłynięcia z prądem. Namawiano go do tego kroku. Mało brakło, a byłby podążył śladami brazylijskiego kapitana korwety Stanisława Przewodowskiego i argentyńskiego pułkownika Roberta Chodasiewicza.

Woś obrał jednak inny kierunek. Pojechał do Brazylii, którą poznał już w przejeździe. Decyzja pociągnęła za sobą znane powszechnie rezultaty. Dzięki niej powstało w r. 1871 podkurytybskie Piłarsinho, do którego dołączyli w dwa lata później Abranches, a po dalszych dwóch latach — Kandyda, dając początek Nowej Polonii.

Wychodząc śladami, szarpany wątpliwościami na bruku Montevideo, znalazł właściwy cel swego żywota. Stał się ojcem osadnictwa polskiego w Brazylii już jako Edmund Saporowski, pod którym to nazwiskiem przeszedł do historii. Trudno snuć domysły jakby też wyglądała mapa polskich osiedli w Brazylii w wypadku zakotwiczenia się Sebastiana Wosia Saporowskiego nad La Platą ramie w ramie z powstańcami 63 roku.

Drugi fakt, o którym chcę mówić, to rola jaką odegrali powstańcy wraz z osadnikami Nowej Polski, rola przodowników społecznych, gdy w r. 1890 weszła 55-tysięczna przybór Pana Balcerowego napływu, który w dwóch trzech rozlał się poza Parana. Wrośnięci w nową ziemię, gdzie znaleźli wolność i chleb, powstańcy byli za słabi liczebnie, żeby pomyśleć o zorganizowaniu się w jakieś takie kółka. Dopiero masowy przypływ z "gorączki królewskiej" dał im szansę do podjęcia gromadzkich poczyni. Skorzystali z niej bez odwiekania jak to notuje kalendarzyk pięciu najdawniejszych stowarzyszeń.

W r. 1890 zawiązały się trzy stowarzyszenia: w Buenos Aires Towarzystwo Polskie (22 stycznia w rocznicę Powstania 63 roku), w Rio de Janeiro — Towarzystwo Zgoda (29 listopada w rocznicę powstania 1830-31).

Rok 1891 upamiętnił się założeniem Towarzystwa im. Kazimierza Pułaskiego w nadi-guassowym św. Mateusza. W dwa lata później wzięło ono udział w krwawych wydarzeniach federalistycznych opisanych w kalendarzu Zdanowskiego (Porto Alegre, 1920).

W r. 1892 dało o sobie znać São Paulo powołując do życia Towarzystwo im. Księcia Józefa Poniatowskiego.

Przodownictwo powstańców nie ograniczyło się do czterech ścian lokali klubowych. Z równie ważną inicjatywą powstańcy wystąpili w dziedzinie słowa drukowanego, dzięki czemu nasza prasa osadnicza ma już za sobą pełne 70 lat istnienia. Jako arena pionierskiego dzieła posłużyła Kurytyba, najliczniejsze środowisko, rozporządzające dwudziestoletnim natenczas dorobkiem.

Mowa tu o drukarzu kurytybskim Karolu Szulcu, którego czytelnicy "Przeglądu Polskiego" znają z przedrukowanego z nr. 12 reportażu o katastrofie statku "Rio Negro" i założonej przez niego "Gazecie Polskiej w Brazylii".

Karol Szulc, rodem z Wielkopolski, odbył kampanię powstańczą w szeregach Lelewela Borelowskiego, gdzie dosłużył się stopnia sierżanta w trzeciej kompanii. Odnosił ranę podczas zwycięskiej bitwy stoczonej dnia 3 września pod Panasówką i Terespołem nieopodal Lublina. Po powrocie do Poznania zajął się handlem, po czym w r. 1886, licząc już 47 lat, i będąc ojcem pięciorga dzieci, wyruszył na emigrację.

W Kurytybie założył drukarnię i księgarnię, która w ręku jego syna Cezarego przetr-

ZNALEZISKA PRZEDHISTORYCZNE W BRAZYLII

W grudniu r. 1962 powołany został do życia Instytut Prehistorii Uniwersytetu w São Paulo. Kierownictwo Instytutu objął prof. dr. Paulo Duarte, znany w międzynarodowych kręgach naukowych paleontolog i pisarz, członek UNESCO, jeden z czołowych intelektualistów Brazylii. Prowadzi on jako były uczeń i asystent znakomitego prehistoryka i antropologa prof. dr. Pawła Riveta (założyciela m. in. słynnego Muzeum Człowieka w Paryżu) badania dotyczące pierwszych mieszkańców naszego kontynentu. Głównym przedmiotem tych badań, a zarazem ich podwaliną, są t. zw. sambaqui (vulgo casqueiros, ostreiras, casqueiras), czyli kopce zbudowane z muszel ostryg i małżów. Pod tymi kopcami chowano przed tysiącami lat wódzów klanów totemicznych i ich rodziny.

Złoża tego rodzaju spotyka się również w Europie na wybrzeżach mórz, jezior i rzek. W Europie północnej, gdzie występują szczególnie licznie, znane są pod nazwą: Kjoekkenmonddinger. W Polsce znaleziono podobne nieco kurhany, usypane z ziemi, w Sarnowie w pow. włocławskim i w Złotej w pow. sandomierskim. Kurhany te pochodzą z czasów kultury mezolitycznych północnej Europy i liczą od 5 do 6 tys. lat.

Klany totemiczne były pierwszym związkiem społecznym człowieka. Ślady ich obyczajów znajdujemy w późniejszych kulturach, we wspaniałych grobowcach Mezopotamii i w piramidach Egiptu. Kto wie, czy kopce Kościuszk i Piłsudskiego lub symboliczne mauzolea Nieznanego Żołnierza nie są echem prastarych wierzeń pierwszych naszych myślących proków.

Sambaqui zawierają szkielety ludzkie i zwierzęce, resztki pokarmu, i pierwotne narzędzia z kości i kamienia. Pochodzą one sprzed 7-8 tys. lat i stanowią prawdziwy skarb dla paleontologów i antropologów. Na ich podstawie można wydedukować kiedy pojawili się pierwsi ludzie na kontynencie amerykańskim. Jest to jak dotąd kwestia sporna i niewyjaśniona. Argentynczyk Florentino Ameghino wypowiada się za autochtonicznym pochodzeniem człowieka amerykańskiego. Aleksy Hrliczka (USA) twierdzi, że pierwsi mieszkańcy Ameryki przywędrowali z Azji przez cieśninę Behringa, a Paweł Rivet, nie mając wątpliwości co do azjatyckiego pochodzenia tubylców amerykańskich, dowodzi, że pierwsze migracje szły drogą oceaniczną, a nawet przez Antarktydę.

wała przy ul. Serro Azul naprzeciw Katedry aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Przedsiębiorstwo powstańczego weterana upamiętniło się dwiema inicjatywami:

Karol Szulc wydał w Poznaniu elementarz polsko-brazylijski ułożony przez jego ziomka Hieronima Durskiego do użytku w szkołach osadniczych. Był to pierwszy podręcznik szkolny w historii Parany dla dzieci polskich opracowany na miejscu. Nakład książki, jak to wynika z ogłoszeń, wynosił co najmniej 3.300 egzemplarzy.

W r. 1892 Karol Szulc przystąpił do wydania tygodnika "Gazeta Polska w Brazylii", macierzy czasopism polskich na kontynencie Ameryki Południowej. O duchu, który ożywiał założyciela, świadczy początkowy zamiar nadania pismu tytułu: "Wiarus Polski". Gazeta ukazywała się regularnie przez pełne pół wieku, aż do zamknięcia jej na skutek nacjonalizacji w r. 1941.

Paweł Nikodem

Rozkopywanie sambaqui należy do prac szczególnie żmudnych. Odsłania się powierzchnię kopca centymetr za centymetrem, posługując się przeważnie małymi łopatkami i pinsetkami, ponieważ każdy fragment może zawierać niezbędne dla całości części kości lub narzędzi. Kopce sięgają często dziesięciu metrów wysokości, a podstawa ich wynosi od 5 do 6 metrów. W prowizorycznie urządzonym laboratorium w pobliżu wykopalisk przygotowuje się, składa i klei znalezione przedmioty, ustala ich wiek, a ciekawsze i trudniejsze do wyspecyfikowania obiekty posyła się do Europy, gdzie ustala się dokładne daty ich powstania przy użyciu węgla radioaktywnego C 14. I tak np. jedną najlepiej utrzymanych i najstarszych czaszek jest głowa kobiety sprzed osmiu tysięcy lat. Dr. Paulo Duarte nazwał ją żartobliwie miss Sambaqui.

Wyczerpujące są również warunki pracy przy rozkopywaniu sambaqui. Położone są one na całym wybrzeżu atlantyckim w strefach wilgotno-gorących, porośnięte bujną i wrogą człowiekowi roślinnością, a chmury moskitów i borszczów rzucają się chciwie na nieostrożnych przybyszów. Ale co to ma za znaczenie dla fanatyków nauki, dla wtórczych lata uciążliwej pracy nie mają znaczenia w obliczu tysiącleci.

Lecz wróćmy do dziejów powstania tej pierwszej tego rodzaju placówki naukowej na terenie Ameryki Łacińskiej.

W czasie rządów gubernatora Garcez'a w r. 1952 zorganizowano pod kierownictwem Paulo Duarte Komisję Prehistorii. Prace tej, powiedzmy to sobie, prywatnej komisji zainteresowały świat naukowy w skali międzynarodowej. W r. 1954 UNESCO organizuje I Zjazd Intelektualistów, w którym wzięli udział uczeni tej miary co Paweł Rivet (Francja), Jerzy Shuster (USA), i Antoni Babel (Szwajcaria) oraz wielu znakomitych antropologów, archeologów, genetyków, etnologów i lingwistów. Zjazd odbył się w São Paulo, przewodnictwem powierzono dr. Paulo Duarte. Przedmiotem sesji były badania dotyczące pochodzenia mieszkańców Ameryki.

W r. 1956 Komisja Prehistorii, rozszerzając stopniowo swoje pole działania, zostaje przemianowana na Instytut Prehistorii i Etnologii. W wyniku wspaniałych osiągnięć tej organizacji dochodzi w r. 1961 do ponownego spotkania intelektualistów, również pod egidą UNESCO. I tym razem spotkanie odbywa się

PIERWSZE DOŚWIADCZENIA GÓRSKIE

3

Po okresach dorywczej pracy na wsi siewackiej wracaliśmy na Wagę z plecakami pełnymi żywności. Nie zrażało nas to, że woda oddalona była od domu o dwieście metrów, ani też, że drzewo na opał trzeba było przynosić na plecach z rozebranego 700 metrów niżej mostku. Tu na górze znajdowaliśmy się w znanym nam świecie, i mimo swej surowości życiowym dla nas.

W czasie koniecznego w tym okresie chodzenia po górach po żywność zdarzały się w czasie polowań wypadki. Odbywaliśmy akcje ratunkowe w bardzo złych warunkach atmosferycznych podczas czarnych jak smoła nocy przy świeżym opadzie śnieżnym.

Nabywaliśmy doświadczenie górskie.

W zimie trzeba się było trzymać Zakopanego. Przebrnęliśmy ten ciężki okres pracując oficjalnie jako drwale. Pół-

w São Paulo pod przewodnictwem dr. Paulo Duarte.

Tematem obrad były następujące zagadnienia:

1. Starożytność i pochodzenie człowieka w Ameryce.

Świadectwa archeologiczne, antropologiczne, biologiczne, historyczne i językowe.

2. Drogi penetracji człowieka w Ameryce i jego rozprzestrzenienie się po kontynencie.

3. Relacje pomiędzy kulturami Ameryki i starego świata w epoce przedkolumbijskiej.

4. Wnioski i zalecenia dla przyszłych badań oraz ochrona i konserwacja zabytków, znalezisk oraz pamiątek historycznych.

Wkrótce po tym zjeździe rząd federalny ogłosił ustawę o ochronie narodowej wszystkich znalezisk przedhistorycznych znajdujących się na obszarze Brazylii. Ustawa ta była niezbędna, ponieważ ignorancja, chęć i żądza łatwych zarobków doprowadzały do systematycznego burzenia i niszczenia tych unikalnych zabytków jakimi są sambaqui. Ludność miejscowa używała muszli z kopców do wyścielania dróg i ścieżek, a handlarze i drobni przemysłowcy widzieli w nich tanie źródło do wyroku mączki wapiennej lub wapna. Ileż to cennego materiału archeologicznego zginęło nieodwołalnie pod kilofami i łopatami nieświadomego chłopa lub świadomego wyrządzającego szkody wandal!

Prace wykopaliskowe, prowadzone przez Instytut, posuwały się z powodzeniem naprzód, ciesząc się coraz większą popularnością nie tylko w kołach fachowych lecz również wśród studentów i inteligencji. W r. 1932 na wniosek 56 profesorów Uniwersytetu w São Paulo senat Uniwersytetu podejmuje uchwałę o przemianowaniu prywatnego Instytutu Prehistorii i Etnologii na Instytut Prehistorii Uniwersytetu w São Paulo. Zapołączkowano już obecnie organizację Muzeum Człowieka Amerykańskiego. Przystępuje się wkrótce również do budowy muzeum i bazy studiów przedhistorycznych w Guarujá z fundacji i na terenie ofiarowanym przez znanego przemysłowca paulistańskiego, dr. Paulo Matarazzo.

"Rysia Sadowski"

ficznie pod naszą opieką znajdowały się porzucone przez cofającą się armię niemiecką schroniska tatrzańskie. Po opustoszałych górach przez głębokie zasyprzebijaliśmy się często z Zakopanego 30 kilometrów do Morskiego Oka lub Roztoki z ciężkimi zawsze plecakami. W tej sytuacji zastał nas koniec wojny.

Sezon letni r. 1946 rozpoczynałem już jako zaawansowany taternik. Z wybitnymi lub w każdym razie grubo bardziej doświadczonymi kolegami z Klubu Wysokogóskiego porobiłem już poprzednio kilka wartościowych dróg. Ponadto chodziłem z nowicjuszami po bardzo trudnych szlakach. Czułem się już dość pewnie, ale daleko mi jeszcze było do podejmowania samodzielnych wielkich i trudnych dróg.

Ten sezon miał zadecydować czy będę mógł je kiedykolwiek podejmować, a okazje miałem nie lada, zostałem bowiem zaproszony w Tatry do współtowarzyszenia grupie pod dowództwem Mariana Pauly'ego, doskonałego taternika, autora większości najtrudniejszych przejść w skałach podkrakowskich. Wojnę spędziłem w Orlagu; zanim poznałem go osobiście znałem już nazwisko z szeregu doskonałych dróg, które pierwszy pokonał, z nazwanych jego imieniem rys lub kominów. W naszej niewielkiej grupie był również, wówczas jeszcze bardzo młody, dziś jeden z najwybitniejszych polskich alpinistów Staszek Worwa z Krakowa.

Z bardzo ciężkimi plecakami udaliśmy się na wschodni kraniec Tatr Wysokich i tam w gęstej kosodrzewinie założony został obóz w namiotach. Początek nie był zbyt fortunny. Po przejściu z Worwą wschodniego filara Durnego Szczytu, w drodze powrotnej, ruszyliśmy wraz ze mną w stromym ciasnym kominie duży blok granitowy. Instynktownie skoczyl przed siebie, lecz o ułamek sekundy za późno. Blok przez moment oparł się na mojej prawej ręce.

— Staszek, szybko daj mi chustkę —

Lewą ręką uciskałem tętnicę powyżej dwóch zmiędzonych stawów małego palca. Gdy tylko zwalniałem ucisk, krew natychmiast tryskała strumieniem. Ręka w miejscu zgniecenia miała grubość tektury. Z opatrunkiem zrobionym z odartego kawałka koszuli wróciłem do obozu.

Dwa dni później, w pięknym zachodzącym słońcu leżeliśmy przed namiotami po zrobieniu grani Wieleń. Palec zawinięty miałem grubym bandażem aby nim jak najmniej ruszać. Na wspinaczkę zapomniałem o tym zupełnie. Choć ręka bolała, trzeba się nią było intensywnie posługiwać. Przy używaniu młotka nie sposób było nie ruszać palcem.

Nieświadomie użyłem najlepszego sposobu na wyleczenie dłoni o palca. Mimo, że rana "jadziła" się dłuższy czas, palec rozruszałem, przy umiarkowaniu go, według opinii lekarzy, dwa stawy pozostałyby sztywne.

Teraz zaabsorbowany byłem jedną z największych ścian tatrzańskich i słuchałem uzupełnień opisu drogi omawianych przez Mariana Pauly.

900-metrowa północna ściana Małego Kieżmarskiego Szczytu jest bardzo rozległa i urwista. W nowszych czasach wynaleziono wprawdzie poprzez tę ścianę kilka dróg, ale wszystkie te drogi omijały główne trudności na środku urwiska. Dopiero w 1932 roku Wiesławowi Stanisławskiemu najwybitniejszej postaci w ta-

ternictwie (zginął niestety tragicznie w rok później prawdopodobnie pociągnięty liną przez towarzysza w chwili gdy przebierał buty) udało się rozwiązać ten problem w trzydniowej wspinaczce. Określił drogę jako jedną z najtrudniejszych i najdłuższych w całych Tatrach. Następne dwa powtórzenia trwały dwa dni i w jednym z nich brał udział Pauly. Naszym ambitnym zamierzeniem było pokonanie ściany w jeden dzień. Ja czytałem przewodnik, Marian uzupełniał swoimi wspomnieniami z tej ściany. Musieliśmy zapoznać się dobrze z planowaną turą, wiedzieć gdzie koncentrują się największe trudności, aby dokonać tego co jeszcze nikomu się nie udało: w jeden dzień przejść tę olbrzymią ścianę. Barwny opis uzupełniany był krótkimi informacjami w nawiasach, dotyczącymi klasyfikacji trudności. "Bardzo trudno, ustawicznie nadzwyczaj trudno" czytałem raz po raz. To znaczy najwyższa skala trudności. Ręce trzęsły mi się z wrażeń tak, że musiałem przerwać czytanie.

Noc upłynęła prawie bezsennością. Emocja była ogromna, obawiałem się aby nie przespać wczesnej godziny wstania. O czwartej musieliśmy już wyjść z namiotów. Poza sprzętem i jedzeniem leżała przygotowana "na wszelki wypadek" płachta biwakowa Zdarky'ego i butelka koraminy. O piątej pod ścianą losowaliśmy my prowadzenie.

Mnie przydała dolna część ściany, Marianowi górna. Związałem się liną i podniecenie natychmiast minęło; gdy złapałem pierwszy chwyt byłem już zupełnie spokojny.

Po czterech godzinach, mniej więcej w połowie drogi, na olbrzymim skośnym tarasie zwanym Niemiecką Drabiną, zapytałem:

— Marian, chcesz może koraminy? —

— Zwariowałeś? Po co? A ty? —

Po pokonaniu potwornie stromych płyt nad nami, po ośmiu i pół godzinach wspinaczki stanęliśmy na wierzchołku.

Słowaccy koledy, którzy nas przez cały czas — nic o tym nie wiedzieliśmy — lornetowali, przygotowali później, gdy zeszliśmy do schroniska przyćmienie na naszą cześć. Mieliśmy być z czego dumni. Ściana została zrobiona w doskonałym tempie. Jeszcze przez dobrych kilka lat czas ten był nie pobity, a i dziś należy do krótkich.

Po dwóch tygodniach przenieśliśmy obóz do Doliny Kaczej. Dołączył się tu do nas Jan Staszek, wielokrotny alpejczyk, jeden z najwybitniejszych taterników zimowych, towarzysz mój z pobytu na Wadze. Domem naszym stała się ciasna koleba, w której trzeba było uważać i panować nad odruchami; tak niska, że przy lada okazji można było rzczyć sobie głowę.

Późne wyjście na poważną wspinaczkę jaką jest niewątpliwie pół-wschodni filar Ganku, guzdranie się pod ścianą w poszukiwaniu nowej ewentualnie drogi zemściło się na nas, to znaczy na Staszku Worwie i na mnie w sposób nader nie miły. Około 60 metrów pod wierzchołkiem złapała nas noc a wraz z nią ulewa i burza. Nigdy później żaden biwak nies dał mi tak "w kość", nigdy nie zmarzłem tak jak wtedy. Pioruny łupały całą noc w najbliższej — tak nam się wydawało — odległości, oślepiając i ogłuszając nas każdorazowo. Po każdym uderzeniu pioruna zwielokrotniony licznym odbijaniem się od skał, pogłos powta-

W Północnej Paranie 42 lata temu

Kazimierz Karman

rzał się długim echem. Choć wszelkie żelazo odsunęliśmy jak najdalej to jednak istniała obawa uderzenia prosto w nas. Byliśmy zaledwie o sześćdziesiąt metrów od jednego z najwyższych szczytów tatrzańskich. Ubrani tylko w letnie koszule i wiatrówki marzliśmy i moknęli. Staszek Worwa nie miał nawet pump tylko krótkie spodnie. Jeden w drugiego wtulał się próbując w ten sposób zagrać się choć na moment, a wytrwałe wycie — dla rozgrzewki i otuchy — wszystkich znanych nam piosenek rozlegało się w przerwach między łoskotami burzy. Niestety, po godzinie repertuar wyczerpał się a czas prawie, że stał w miejscu. Od ostatniego spojrzenia na zegarek o 11 w nocy upłynęły już — możnaby przysiąc — setki minut.

— Chłopaki zgadnijcie, która godzina — zapytałem.

— Pierwsza — odparł Jano.

— Druga, — poprawił Staszek.

Była 11.30. Minuty zdawały się trwać godziny, a podziny doby. Nie mieliśmy nic do jedzenia, nie było nawet papierosów. Gdy wreszcie ukazało się jak zbawienie słońce, byliśmy prawie drętwi. Do dalszej drogi konieczna była niezła sprawność fizyczna a my nie byliśmy w stanie zgiąć nawet palca, uderzenie własną dłoń, o dłoń było wielkim i trudnym problemem. Potrzebna rozgrzewka przed wyruszeniem na wierzchołek i dokonaniem ściany oraz późniejszym, niemal cały dzień trwającym powrotem do koleby trwała dwie godziny.

Pobyt w Tatrach zakończył się akcją ratunkową. Leżeliśmy tego dnia po wspinaczce, zmęczeni, przy dogasającym ognisku, gdy zjawiała się jakaś długa postać i zapytała:

— Czy nie ma tu przypadkiem pana Staszka? —

— Jest. A o co chodzi? —

— Zdaje się, że ktoś wzywa pomocy. —

Rozmówcą naszym był Jerzy Woźniak, wspaniale zapowiadający się wspinacz (zginął w 1949 r. na ścianie Rumanowego Szczytu wraz z Andrzejem Nunbergiem). Opcwiał, że biwakując z grupą kolegów pod filarem Ganku zauważyli w szczelinie między pionowym kominem, a zlodowaciałym letnim śniegiem leżącym u stóp ściany światło sześć razy na minutę, to znaczy tatrzański sygnał oznaczający wezwanie na ratunek. Przybiegli natychmiast tu, bo raz, że jego grupa jest niewielka, dwa, że trzeba kogoś doświadczonego kto prowadziłby akcję ratunkową. Oczywiście, chodzi o najbardziej doświadczonego z nas, w dodatku członka Ochotniczego Tatrzańskiego Pogotowia Ratunkowego, Jana Staszka.

Z linami i sprzętem pobiegliśmy ponad kilometr pod ścianę po nocy, przez kosówkę i maliniaki.

Nikie światelko rzeczywiście migało co jakiś czas w linii spadku komina, którym nie wiódł żaden szlak wysokości, (komin ten został zdobyty później właśnie przez Woźniaka). Zastanawiało nas skąd tam właśnie pod tym urwiskiem wzięli się ludzie. Według późniejszej opowieści jednego z uratowanych historia znalezionych w szczelinie dwóch Czechosłowaków przedstawiała się następująco:

Po zrobieniu normalną drogą Galerii Gankowej schodzili oni z tarasu "na skróty" urwistą i niebezpieczną drogą, którą sami sobie wykombinowali, wiodącą przez wschodnie zbocza Ganku. Przypuszczam, że nigdy przedtem tej ściany nie oglądali, bo nie wyobrażam sobie, aby znając ją podjęli podobną decyzję. Byli to, niewątpliwie, sprawni wspinacze, gdyż zdołali przetrawersować

Po opuszczeniu fazendy pani Coita jechaliśmy równiną przeplatana faxinalami i paprociskami z dużą ilością herwy. Tereny te należały do pana Guilherme de Paula, który miał pięć tysięcy akrów ziemi. Proponował mi swego czasu administrację tej fazendy kiedy swego czasu w r. 1917, jadąc na wyprawę do Iguaçu, odwiedziłem go w Campo de Laranjeiras i gdzie mu tygrys wyżył bydlę.

Potem wydzierżawił te herwale p. Manoel Camargo w cenie 300 rejsów od arroyo suchej herwy, ale jak dotąd nic nie zrobiono z braku ludzi. Jeżeli trudno znaleźć administratora na tak wielką fazendę to cóż dopiero ludzi do roboty. Nikomu się nie spieszy, żeby go tygrys zjadł, tak jak pozjadał byki na tej fazendzie.

Herwale były tu skazane z powodu periodycznych pożarów. Trudno tu pogodzić dwa sprzeczne ze sobą interesy. Fazender palił, żeby odnowić trawę na paszę, a ogień, gdy się raz dostanie w paprociska i faxinale niszczy herwale.

Przejeżdżając przez wielkie paprocisko ujrzałem w odległości ponad stu metrów sarnę. Sarna też nas zobaczyła. Zanotowałem sobie dobrze miejsce gdzie stała i strzeliłem. Widziałem jak sarna podskoczyła w górę i znikła w paprocisku. Zaczęliśmy jej szukać, szukaliśmy z kwadrans, ale nic nie znaleźliśmy. Chciałem się już udać w dalszą drogę, gdy usłyszałem w pobliżu szybkie uderzenia i paproc się tam trzęsła. Sarna kończyła już swój żywot i dawała ostatnie kopniaki. Zabraliśmy ją.

Noc spędziliśmy w wendzie w pobliżu Campo Mourão. Sarna się przydała, gdyż wendziarz nie miał żadnego mięsa. Było więc co jeść i czym zapłacić za gościnę.

Nazajutrz 18 sierpnia odwiedziliśmy Campo Mourão. Trawa koło tej osady licha, twarda i jako pasza mało wartościowa. W samej osadzie prócz małej kapliczki niczego jeszcze nie było. Za to okolica wydawała się dość zaludniona. Mieszkańcy byli to *minejczy*, którzy wyemigrowali z Minas Gerais. Podróż ich możnaby nazwać epopeją. Jechali wozami ciągniętymi przez woły ponad dwa lata. Wyruszyli z Minas w końcu r. 1903, a przybyli do Campo Mourão na początku r. 1906. Widziałem ich swego czasu jak mijali Prudentópolis. Wyglądali jak Cy-

szeroką ścianę i dotarli do komina, którym rozpoczęli przy zapadającym zmroku zjazd na linie. W czasie jednego z końcowych zjazdów wyleciał hak i znajdujący się w tym momencie na linie człowiek runął w ciasną szczelinę między skałą, a lodem, rozbijając sobie poważnie głowę i kolano. Jego towarzyszy zdołał — przyznawał się potem, że sam nie wiedział w jaki sposób — zejść do rannego.

Ludzie ci mieli dużo szczęścia, że był ktoś wówczas w Kaczej Dolinie niedaleko miejsca wypadku i że zauważono ich sygnał znajdowali się bowiem w pułapce bez wyjścia. Jedną stronę pułapki stanowiła prawie pionowa, gładka ściana skalna, drugą nieco przewieszony, odchylony od pionu lód. Wyżej, rozszerzając się, szczelina nie dawała możliwości wyjścia "zapieraniem się" pomiędzy obydwojema ścianami zwłaszcza, że jeden z mężczyzn nie mógł poruszać się o własnych siłach. Oba groziło po kilku godzinach zamarczeniem.

Nad ranem ofiary własnej lekkomyślności i nieostrożności (nie ubezpieczali się podczas zjazdu) znalazły się na śniegu na przygotowanych w tym celu płachtach. Po całonocnej akcji wszyscy jej

ganie. Od Guarapuawy do Campo Mourão prowadził ich kacyk Bandeira ze swymi Indianami i sertainista Norberto Velho.

Mozolna i ciężka była to praca wyrąbywanie w puszczy setek kilometrów pikady tak szerokiej, żeby można było przejechać wozem. Dzielni i nieustraszeni byli to ludzie. Nic ich nie zdołało zniechęcić, ani przestraszyć i zamiar swój wykonali, choć trwało to lata.

Coś podobnego zrobili w kilka lat później *monżyści* ale na o wiele krótszym dystansie. Szkoda tylko, że ani rząd, ani społeczeństwo nie potrafią tych ludzi ocenić. I prędzej jakiś bubek, któremu się uda dobrze kopnąć piłkę zdokądże sławę i pomoc ze strony rządu, niż ci prawdziwi bohaterzy.

Minejczy żyli z rolnictwa, głównie z uprawy kawy i trzciny cukrowej. W ostatnich latach mrozy częściowo zniszczyły te plantacje.

Po opuszczeniu Campo Mourão jechaliśmy drogą prosto jak strzelił. Las rósł wokół bujny, złożony gdzieś w samych pionów, które tu dochodziły do kolosalnych rozmiarów. Potem drzewostan się zmienił. Zaczęły się ukazywać *gisary*, *peroby*, *pau de alho* i inne właściwe ziemiom urodzajnym. Bogactwo ziemi widziało się przy przejazdach przez potoki. Warstwa urodzajnej gleby była tam wielometrowa. Nie spotykało się też nigdzie kamieni.

W pobliżu źródeł rzeki Cherenge spotkałem się z fazenderem p. Pedro Mendes'em, krewnym Manuela Camargo, który wracał z Porto Camargo na rzece Paranie i udzielił mi wielu cennych informacji. Postanowiłem z nim wrócić do pani Coita, żeby zapuścić się w puszcę pikadą zbudowaną przez lekarza Hiszpana, który tą właśnie pikadą przedostał się do obozowiska Towarzystwa Alica. Musiał to być ciekawy typ awanturnika albo wielkiego altruisty skoro, aby dotrzeć do pacjentów nie wahał się wyrąbać ponad 30 kilometrów pikady na własny koszt i jeszcze sam pomagał rąbać. Żałowałem bardzo, że nie mogłem go poznać.

20 sierpnia pożegnałem się, tym razem ostatecznie, z panią Coitą i wyruszyłem ścieżką prowadzącą do jej plantacji. Znalazłem te plantacje w odległości 7 km. a stamtąd było już niedaleko do pikady Hiszpana. Pod wieczór przybyłem do potoku Gavilan i po-

uczestnicy śniali się na nogach ze zmęczenia... Kilkakrotnie trzeba było zjeżdżać do szczeliny na linach, które płały się i wrzynały się w śnieg utrudniając wydobycie ciężkich i niewygodnych do transportu ludzi. Nie posiadając latarek przyswiecano sobie laskami zapalonego prochu.

Gdy wróciłem do koleby po herbatę dla zebranych pod ścianą kolegów usnąłem na siedząco podczas szukania rozrzuconych menażek. W chwilę później — widocznie poczucie obowiązku nie pozwalało spać — podrzuciłem gwałtownie głowę dla rozbudzenia się i bęc! całą siłą uderzyłem o powalę koleby. To przebudzenie czułem w głowie cały tydzień.

Opuszczając Tatry — było to zakończenie naszego sezonu letniego nie mieliśmy czasu, ani siły, aby oglądać tonące w słońcu góry. Długie godziny, krok za krokiem, w dół, doliną Białej Wody, niosło się ostrożnie na rękach rannego. Chociaż zmiany niosących odbywały się często, zmęczenie dawało się nam mocno we znaki. Po ziemistym pod opalizną cerze, po podkrażonych oczach — znać było trudy trzydziestogodzinnego wysiłku.

Jerzy Piotrowski

KAUCZUK DAWNIEJ I DZIŚ

stanowiłem przenocować w znajdującej się tam niewielkiej ranszy. Ledwo zsiadliśmy z Mryczką z koni, gdy z lasu wyszedł Paragwajczyk, pozdrowił nas i przedstawił się jako Prudente Gonzales. Ponieważ słyszałem już o nim od p. Coita i p. Mendes'a jako o najlepszym eksploratorze Towarzystwa Alica i znawcy tej okolicy postanowiłem skorzystać ze sposobności i przedstawiłem mu się jako wysłannik rządu do zbadania terenów w celach kolonizacyjnych.

— Widzę, że macie panowie zamiar tu przenocować — powiedział Gonzales — to zapraszam panów do siebie.

Rzekłszy to wydobyl z gardła długi i przeciągły okrzyk, którym nawołują się Paragwajczycy. Wkrótce wyszło z lasu dwóch Paragwajczyków i w jednej chwili wyrabali machetami pikadę do miejsca, w którym ustawiony był namiot. Namiot był wielki i mógł pomieścić sześciu ludzi. Paliło się już ognisko i w kotle gotowała się paragwajska *jupara* tj. kasza kukurydzana z kawałkami mięsa. Przed namiotem w odległości dwudziestu metrów wisiały na drzewie dwa pancerniki, z trzeciego już się mięso smażyło na patelni.

W trzech wielkich worach opróżnionych teraz do połowy znajdowała się żywność i cały ekwipunek. Worki te noszono na plecach sposobem negierskim z pasem na czole.

Wszyscy Paragwajczycy byli uzbrojeni w wincestery i potężne noże (maszety) do wycinania pikad w lesie.

P. Gonzales miał około 45 lat i był uroczym typem prawdziwego Paragwajczyka. Sympatyczny i rozmowny ujmował swoją miłą powierzchownością. Dawaj jego towarzysze, młodzieńcy o kształtach Tarzana, wyglądali jak okazy zdrowia i dzielności, piękni, jak ta dziewicza puszca, która ich otaczała.

Miałem fenomenalne szczęście, że poznałem takiego człowieka i w takich okolicznościach, bo gdybym go spotkał podróżującego to cała rozmowa ograniczyłaby się do: "bom dia" i "a Dios, amigo". Teraz w puszczy na biwaku był czas na pogadanie.

Gonzales, jako dobry gospodarz, dbał o żołądki gości. Po znakomitym szymaronie przyszła kolej na wieczność, składającą się z *jupara*, pieczeni z pancernika, czyli po brazylijsku — z tateta i prażuchy z mąki pszennej. Potem Gonzales wydobyl ze swego worka parę notesów, w których znajdowały się opisy i szkice eksploatowanych terenów. Ja też wyjąłem moje notatki oraz dość dobrą mapę Parany, na której Gonzales porobił korektę. Zwłaszcza rzeki i ich nazwy nie odpowiadały rzeczywistości.

Towarzysze już dawno poszli spać, a myśmy siedzieli informując się wspólnie i kreśląc szlaki, które przebyliśmy.

W pewnej chwili chwili usłyszałem trzask. Mówią, że jaguar robi to uszami. Trzask powtórzył się kilka razy. Podobny był do dźwięku kastaniety.

— Słyszysz pan? — Powiedział Gonzales.

— Słyszę.

— To tygrys. Zwabili go wiszące na drzewie tatety.

Jak by na potwierdzenie tych słów jeden z pancerników spadł z drzewa. Noc była ciemna, puszcza jeszcze tę ciemność zwiększała, tak, że nic nie było widać, chociaż pancerniki wisiały w odległości nie większej, niż dwadzieścia metrów.

— Niech sobie je zdrow — powiedział Gonzales. — Ani ja, ani moi towarzysze nie strzelamy do tygrysów. Nie po to chodzimy po puszczy. Postrzelić tygrysa to rzecz niebezpieczna, a szpital stąd bardzo daleko.

Było już dobrze po północy kiedy poszliśmy spać.

C. d. n.

Kauczuk był pewien czas produktem typowo brazylijskim i stanowił główną podstawę gospodarki tego kraju. Dziś kauczuk, zarówno roślinny, jak i syntetyczny, wytwarzany jest poza Brazylią w milionach ton, a w Brazylii zbierany po dawnemu w ilościach nie wystarczających nawet na pokrycie zapotrzebowania rodzimego przemysłu.

Kauczuk i guma są dwoma pojęciami używanymi w wielu językach równoznacznie. W technologii polskiej pojęcia te są jednak ściśle rozgraniczone. Kauczuk to surowiec, guma zaś jest kauczukiem tak spreparowanym, że nabiera odporności i daje się przerabiać na niezliczoną ilość artykułów. Hevea brasiliensis, drzewo z którego soku lepkiego i gęstego krajowcy amerykańscy, jak zapewnia Kolumb, wyrabiali piłki, występuje w stanie naturalnym prawie wyłącznie w Brazylii. W świecie cywilizowanym kauczuk przez dłuższy czas używany był również do wyrobu piłek. Nie potrzebowano go wiele. Po raz pierwszy pojawia się w wykazach eksportowych brazylijskich dopiero w r. 1825, a w r. 1850 wyeksportowano go za ledwie 1.000 ton. Potem eksport zaczął już szybko wzrastać, co zawdzięczać należy wynalazkowi Amerykanina Charles'a Goodyear'a.

Goodyear odkrył, mianowicie, że przez dodanie siarki kauczuk można wulkanizować tj. zamienić na materiał wytrzymały na gorąco i rozpuszczalniki. Można więc powiedzieć, że Goodyear, którego nazwisko i dziś jeszcze nie jest obce przemysłowi opon samochodowych w Ameryce, pierwszy wyprodukował gumę.

Od połowy XIX w. rozwój przemysłu gumowego następował bardzo szybko. Ceny kauczuku rosły. Mogły być one utrzymywane na dużej wysokości, ponieważ Brazylija miała faktyczny monopol na ten produkt, a sadzenie hevea w innych krajach było niemożliwe wskutek zakazu wywozu nasion. Jak to jednak zwykle bywa nie mógł skutkować wiecznie. Zbyt wiele można było na tym zarobić, żeby nie próbować przesznułować nasion. Udało się to praktycznym Anglikom. Wyprawa botaniczna w dorzecze Amazonki zorganizowana pod pretekstem zbierania okazów rzadkich storczyków, wywoziła nielegalnie nasiona. Wyhodowano z nich w ogrodzie botanicznym Kew pod Londynem pierwsze drzewka hevea poza Brazylią.

Dało to początek plantacjom kauczuku w Azji, zwłaszcza na półwyspie Malajskim, gdzie drzewo to znalazło dla siebie jeszcze lepsze warunki, niż w rodzimej Brazylii. Ołbrzymie plantacje na Malajach nie tylko przełamały monopol Brazylii ale pokrywają dziś ponad 90 proc. zapotrzebowania na kauczuk roślinny.

Nasuwa się pytanie czemu nie założono plantacji drzew kauczukowych w Brazylii? Owszem takie próby czynione są od 50 lat, ale mimo wszystko okazuje się, że człowiek nie może jeszcze kontrolować wszystkich zjawisk przyrody. Pojedyncze drzewa hevea, rozrzucone w puszczy amazońskiej, są odporne na szkodniki, podczas, gdy zgromadzone w plantacjach padają ich ofiary. W dziewiczych lasach mieszanym są drzewa, mieszanym owady i drobnoustroje. Szkodniki mają tam swoich wrogów i istnieje określona równowaga biologiczna. Na plantacjach jest inaczej. Jednorodne drzewa, atakowane przez rozmnażające się gwałtownie szkodniki, niszczą.

Plantacje w Azji są w mniejszym stopniu narażone na to niebezpieczeństwo. Szkodniki hevea nie przywędrowały wraz z nimi na Malaje, gdyż drzewka zostały wyhodowane z nasion.

Pod koniec XIX w. produkcja kauczuku była bardzo popłatna, co prawda mniej dla

plantatorów, a więcej dla "baronów" kauczukowych, w ręku których kupiał się eksport tego surowca. Mieli więcej pieniędzy, niż sposobów ich wydania. Dobre czasy dla kauczuku łatwo zrozumieć, jeśli uwzględnić, że w najlepszym okresie około r. 1910 cena dochodziła do 5 dolarów za kilogram, gdy dziś po tylu latach wynosi osiem razy mniej około 80 centów i producenci bynajmniej nie narzekają. A trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że od r. 1910 ceny wielu surowców poszły znacznie w górę. Nic dziwnego, że w swoim czasie kauczuk był podporą gospodarki brazylijskiej. W okresie lat 1900-1905 waluta brazylijska była tak mocna, że zwykowała w stosunku do funta i dolara, fakt, który nie powtórzył się od tego czasu i chyba się już nie powtórzy.

O ile około r. 1910 skończył się monopol Brazylii o tyle w czasie II wojny światowej skończył się także monopol kauczuku naturalnego. Chemia poczyniła w międzyczasie takie postępy, że poczynił naturalny można było zastąpić doskonałym, wytwarzanym syntetycznie.

Sprawa ta ma długą historię, a dla nas specjalne znaczenie, ponieważ nauka i technika polska położyły na tym polu duże zasługi. Zaczęło się to jeszcze w czasie I wojny światowej. Wojny mają to do siebie, że zmuszają do produkowania materiałów zastępczych bez oglądania się na koszty, co prowadzi nieraz do wielkich odkryć.

Pierwszą metodę opracowali Niemcy. Okazała się ona jednak niepraktyczna i zarzucono ją. Realne osiągnięcia osiągnięto natomiast w ... Rosji. Jeszcze za czasów carskich monopol spirytusowy chciał zwiększyć zbył spirytusu na cele techniczne i rozpiął odpowiedni konkurs.

Chemicz Ostromyslskij opracował wówczas metodę wytwarzania ze spirytusu kauczuku syntetycznego. Minęły jednak długie lata zanim ta metoda została zastosowana w przemyśle. Po przewrocie komunistycznym utworzony został komitet pod przewodnictwem prostego marynarza. Komitetowi polecono budować fabryki o produkcyjności kilkunastu tysięcy ton każda. Ale jeszcze nie ma sposobu, aby terrorizować procesy chemiczne i dlatego sprawa produkcji syntetycznego kauczuku ze spirytusu posuwała się w Sowietach bardzo wolno naprzód.

Miedzy współpracownikami Ostromyslskiego znajdował się Polak, inż. Kielbasiński, który po powrocie do Polski stanął na czele wydziału kauczuku Chemicznego Instytutu Badawczego w Warszawie. Po pewnym czasie zastąpił go młody i energiczny inż. chemik, Wacław Szukiewicz, który tak daleko posunął prace laboratoryjne, że w r. 1938 wybudowano w Dębicy na linii Lwów — Kraków niewielką na początek fabrykę. Było to jedno z osiągnięć inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego, twórcy Gdyni, który budował w tym czasie t. zw. COP, czyli Centralny Okręg Przemysłowy. Inicjatywa COP'u miałyby doniosłe znaczenie dla Polski, gdyby wszystko, włącznie z kauczukiem z Dębicy, nie padło pod bombami i żołnami Hitlera.

Ale sama idea nie zginęła. Inż. Szukiewicz, doznawszy nieprawdopodobnych przygód, których tu z braku miejsca nie możemy opisać, znalazł się w końcu w Stanach Zjednoczonych, nota bene po spędzeniu w drodze dziesięciu miesięcy w Niteroi w Brazylii. W Ameryce trafił akurat na moment przystąpienia Japonii do wojny kiedy wobec utraty plantacji azjatyckich sprawa kauczuku stała się kwestią życia i śmierci dla Sprzymierzonych. Nauka i przemysł amerykański przystąpiły gorączkowo do rozwiązania problemu produkcji kauczuku syntetycznego i Szukiewicz dzięki patentom polskim i własnemu doświadczeniu wziął w tym udział.

Dok. na str. 18

PRZEMYTNIK

J. SIMÕES LOPES NETO

Jango Jorge, szef maloki 1) przemytników działających na bagnach Ibirocaí, miał wkrótce skończyć dziewięćdziesiąt lat. Był szczupły, ale zawsze wyprostowany jak trzcina.

Nieulekły ten gauszo większą część życia spędził na waleśaniu się po terenach pogranicza: w upalnym słońcu, w blasku bladego miesiąca, w nieprzeniknionym mroku nocy, w mgliste poranki. Choćby lało jak z cebra, dmuchało jak diabli nie zmylił nigdy brodu, nie minął właściwej ścieżki, nie odłożył zamierzonej wyprawy.

Okolicę poznawał węchem: tu pachniało pokryte kwieciami drzewo açouta - cavalo, tam konieczy, ówdzie guabiroby lub trawa cytrynowa. Słuch mu mówił: w tym miejscu są nory graxaim 2), tam zaś pastwiska tłumiące tęten kopyt końskich, gdzieindziej — kamienista gleba albo piach. Posługiwał się nawet smakiem: wiedział gdzie woda jest słodka, a gdzie słonawa lub stęchła.

Niegdyś wojował: brał udział w bitwie pod Ituzaingo, służył w oddziałach generała José de Abreu. Ilekroć wspominał tego Aniola Zwycięstwa tyle razy szerokim gestem zdejmował kapelusze.

Uchodził za niepoprawnego utracjusza, gdyż miał hojny gest.

Kiedy wygrał w karty zwoływał zaraz miejscową dzieciarnię — jak kury — wołając: cip, cip, cip!... i rozrzucił srebrne monety, śmiejąc się przy tym do rozpuku, gdy chłopaczki biły się i rozpychały, wydzierając sobie pieniądze.

Lubił też chwycić psy na lasso i gdy pętla zaciskała się na brzuchu ofiary szarpać wyrwijające się zwierzę, aż ogłupiałe z bólu i wyczerpania zaczynało wyć przeraźliwie.

Kiedyindziej zwoływał ludzi na przyjęcie i kiedy się już kończyło, a goście byli pod gazem ściągali obrus ze stołu i cieszyli się gdy leciały na ziemię talerze, szklanki, butelki, potrawy. A potem wydobywał sakiewkę i płacił hojnie oberżyscie, więcej, niż były warte rozbite naczynia.

Myślę, że był, rzeczywiście, utracjuszem.

Pewnego razu — było to przed laty — zatrzymałem się w jego zagrodzie. Nie widzieliśmy się od dawna i nie wiedziałem, czy miał rodzinę. Ale okazało się, że tak.

Gospodyni była jeszcze młodą kobietą, przystojną i miłą. W obejściu kręciło się trzech sporych chłopców i jedna dziewczuska, a właściwie już panienka, wokół której wszyscy tańczyli, urodziwa, prawdziwy klejnot, a przy tym sprytna nad podziw. Ukończyła jakąś szkołę i umiała nosić z wdziękiem modne miejskie sukienki. Tak się złożyło, że gdy przybyłem szykowała się właśnie do ślubu. Brakowało tylko dwóch rzeczy: pana młodego i wyprawy ślubnej.

Narzeczony zjawił się nazajutrz. Ponieważ proszono mnie usilnie zostałem na uroczystości.

Jango Jorge wyruszył zaraz po suknię ślubną dla córki. Dokąd, nie miałem pojęcia. Wydawało mi się co prawda, że jak każde zwyczaj powinno się suknię uszyć w domu, ale każdy robi jak mu najwygodniej.

Czekając zająłem się pić szmaronu. Pomogłem też trochę przy biciu prosiat i pieczeniu mięsa.

W Rio Grande do Sul trudniono się zawsze przemytem, nawet jeszcze przed przyłączeniem terenów misyjnych. Czyniono to w owych czasach właściwie bez złej woli, po prostu dla rozrywki i żeby trochę dokuczyć straży granicznej. Kilkunastu gauszów dosiadając koni, wpadało do Urugwaju i porwowało stadko szkap. Wracano ze zdobyczą bez pośpiechu. Chłopaki z tamtej strony granicy płacili nam pięknym za nadobne. Później ta zabawa przeniosła się z koni na bydło. Pędzono je co tchu, rezygnując po drodze ze sztuk przemęczonych.

Mógłby ktoś powiedzieć, że nie był to przemyt tylko rozbój. Niech i tak będzie. Nie mam zamiaru sprzeczać się o słowa.

Uprawiając to piękne zajęcie trzeba się było wystrzegać jedynie posterunków straży granicznej w Cerro Largo, Santa Tecla i Haedo. Na pozostałym obszarze ciągnęły się niestrzeżone podmokłe łąki, porośnięte krzakami.

Później wybuchła wojna w Missiones. Rząd rozdawał sesmarie 3) i wielu z tego korzystało. Każdy taki gość stawał się księciem udziałem i bronił swej posiadłości przy pomocy strzelb, halabard i kordelasów.

Były to czasy kiedy każdy rządził się jak szara gęś.

Krajem gospodarzył człowiek, którego tytułowano capitão general. On to rozdawał sesmarie, ale nie gwarantował skóry obdarowanym.

Proch należał do Najjaśniejszego Pana i tylko za jego zezwoleniem można było posiadać nieco tego cennego produktu. I tylko w osadzie Porto Alegre można było kupić karty do gry wytwarzane w fabryce Króla Jegomości. Był też specjalny komisarz od gry w karty.

W owych dawnych, dobrych czasach Król Jegomość kazał wypędzić z osady trudniących się wyrobem świecidełek. Mogli się tym zajmować tylko ludzie królewscy.

A teraz proszę powiedzieć, czy gauszowie mogli ścierpieć te wszystkie głupie prawa? Nie i dlatego nie liczyli się wcale z istnieniem Króla Jegomości.

Doszło do tego, że estancjerzy 4), albo jechali sami albo wysyłali kogoś na tamtą stronę granicy do Hiszpanów — po proch i kule, krzesiwo, karty do gry, świecidełka dla kobiet i błyskotki do uprząży i nikt nie płacił podatków od kupna tych rzeczy.

Zdarzało się niekiedy, że wylatywał w powietrze wraz z wołami transport prochu. Innych razem zjawiał się znie-nacka oddział milicji i wśród huk wystrzałów zagarniał cały towar. Życie nauczyło gauszów potykać się z obywatelami noszącymi skórzane kolnierze.

Wielu gauszów przyzwyczaiło się do uprawiania szmuglu. Przyjmowali zamówienia i korzystali z każdej okazji zarobku: przemycali sukno portugalskie, tytoń z Bahii, wódkę trzeininową, aby się tylko nie wlec z pustymi jukami.

Trwało to aż do wojny lachmianiarskiej i rozprawy z dyktatorem Rosasem. Całe pogranicze roilo się od Hiszpanów i różnych gringów. Oni to nauczyli naszych nurkować bez zamoczenia. Ludzi ogarnęła chciwość, chcieli się zzbogacić bez wysiłku. Wystarczyło znać step i mieć kapkę odwagi. Dostawało się broń do ręki i miało możliwość przetrzepania skóry strażnikom, wyrównania porachunków z niewygodnym sąsiadem albo utarcia nosa wścibskiemu komisarzowi.

Tymczasem wybuchła wojna z Paragwajem. To dopiero była gratka! Zabrano się do szmuglowania wszelkiego dobra: płótna, olejków, broni, galanterii, leków i diabli wiedzą czego. Zjawili się także stepowi demokraczy.

Posterunki słabe, granica otwarta, prawo przewożenia bez cła skór i włosów. Proszę!... Wolne przejście, człowieku! Ziarno, jak widziacie, zakiełkowało i rozrosło się w olbrzymie drzewo kontrabandy.

Jango Jorge był mistrzem nielada w tych sprawach. Od najmłodszych lat. No, ale tym razem nie podejrzewałem go o przemyt. Pojechał po ślubną suknię dla córki.

Minął dzień, nadeszła noc. Nazajutrz do wieczora — nic. Jango nie wracał. A tu dom zapelniał się gośćmi. Znajomi z osady, kumowie, sąsiedzi, władze, młodzież. Wesele miało trwać trzy dni. Z rąk do rąk krążył szmaron, lał się likier z owoców butia. Jakiś chłopak grał na akordeonie, inni brzdąkali na gitarach, w salonie dał się gramofon.

Stoły były już zastawione od rana, uginając się pod ciężarem talerzy. Gospodyni, przyzwyczajona do wybryków męża, nie przejawiała niepokoju, przynajmniej zewnątrz.

Zjawił się pan młody wyelegantowany, w sztywnym kolnierzyku, we fraku. Powitano go żartami i docinkami. Brakowało tylko panny młodej. Nie mogła się pokazać, ponieważ nie miała jeszcze sukni ślubnej, welonu, białych, atlasowych pantofli i kwiatu pomarańczy.

Zmierzchało. Ktoś powiedział, że panna młoda płacze. Zrobiło się zamieszanie, a ona — co za subtelna istota — ukazała się w progu swojej sypialni — uczesana, ale jeszcze w domowej, perkalowej sukience, uśmiechnięta, zadowolona. Prawdę mówiąc uśmiechała się tylko ustami. Z oczu, ocienionych długimi rzęsami, spływały duże łzy.

Nagle zawołano na podwórze:

— Jango, Jango wraca, a z nim gromada ludzi!

Dziewczyna przestała płakać. Nareszcie dostanie swoją ślubną suknię, welon i kwiat pomarańczy.

Grupa jeźdźców zatrzymała się na podwórze. Wszyscy milczeli, żaden nie wypowiedział pozdrowienia. Wskutek tego ludzie szeroko otworzyli oczy i także zamknęli usta.

Przybysze ściągnęli z konia ciała mężczyzny przykrytego palą. 5). Nikt nie pytał o nic, nikt niczego nie wyjaśniał. Wszystko było zrozumiałe. Kończyło się wesele, zaczynała stypa.

Przeniesiono zwłoki do salonu i położono na kanapie, na której jako na honorowym miejscu mieli siedzieć nowożeńcy. Jeden z przybyszów powiedział:

— Zaskoczyli nas strażnicy, zabrali juczne zwierzęta. Szef rzucił się naprzód, chciał uratować jeden tylko niewielki pakunek. Odwazywał go właśnie, gdy został zasypany kulami. Stoczyliśmy ciężką walkę, żeby odbić ciało.

Gospodyni uchyliła oponczę Janga, rozwinęła zawiniątko. Była tam biała sukienka, pantofle, welon, kwiat pomarańczy. Wszystko przesycone krwią. Śnieżna biel tych cudnych rzeczy wyhaftowana była purpurą w przedziwne, zaskakujące desenie.

U W A G I :

1. — Banda.
2. — Lisek stepowy.
3. — Akt nadania ziemi.
4. — Właściciel ziemski (po hiszp.).
5. — Płaszcz gauszowski.

CHOINKA

SEWERYN A. HARTMAN

Historię tę opowiedział mi szewc Prochorow, człowiek stateczny, pod pięćdziesiątkę. Nie, nie ten Prochorow, co to zeszłej jesieni ożenił się z Marią Pawłówną, ładną blondyneczką z Kaługi, co to śmieje się zawsze bez powodu, tylko ten — garbaty, gruby, z taką brodawką pod lewym okiem, słowem Prochorow z ulicy Puszkinińskiej.

Siedliśmy właśnie w knajpie przy trzeciej, czy czwartej szklance wina kiedy wszedł jakiś gość z choinką w rękę. Choinkę postawił w kącie, a sam usiadł przy stoliku. Był w baranicy i w butach z cholewami. Co za wspaniałe juchtowe buty, mówię wam! Ale to nie należy do opowiadania.

Więc Prochorow, uważacie, spojrzał na tego chłopca, a potem na choinkę i mówi:

Było to — powiada — po rewolucji, w czasie NEP'u. Pracowałem wtedy w lesie przy wypalaniu węgla drzewnego. Zima akurat wypadła ostra, śniegu nawaliło na kilka sążni i wilki, nieponie, podchodziły nocą aż po same nasze legowisko. I w dodatku Boże Narodzenie za pasem. Tak, czy inaczej jest to wielkie święto i wypada je spędzić po chrześcijańsku, nie jak borsuk w jamie. Przydał by się i śledź i kutia i kawałek mięsa i butelka wódki. Chłopaki pomarkotniały, nos spuścili na wintę. Wuj Makarycz, który jako starosta miał pieczę nad kasą otworzył w końcu kabzę i wysuptał pięćdziesiąt rubli. A była to na owe czasy suma takie pięćdziesiąt rubli. Mnie wypadło iść do miasta po zakupy, gdyż byłem najmłodszy.

— Czekajcie, — powiada wuj Makarycz — zetniemy kilka choinek. Wania sprzeda je w mieście. Będzie z tego na kutię i czyściochę.

Chłopaki w mgnieniu oka ścięły sześć drzewek. Cóż to były za drzewka! Puszyste, rozłożyste, słowem — prima!

Władowaliśmy je na sanki. Wuj Makarycz, jak się to mówi, przeżegnał mnie, powiedział: "Spraw się aby dobrze, Wania i niech cię Bóg prowadzi! — i ruszyłem. Ranek był pogodny, słońeczko świeciło, śnieg wesoło skrzyślał pod nogami i ani się spostrzegłem kiedy wyszedłem z lasu na szeroki trakt prowadzący do miasta.

Patrzę i oczom nie wierzę. Stały tam sagi przygotowane do zwózki i koło tych sagów widzę pięciu mołojców. Tułupy na nich nowe i buty juchtowe akuratnie takie jak u tego gościa co pije właśnie wódkę pod oknem.

Chciałem przejechać obok, bo co mnie obchodzą ostatecznie obcy ludzie, aż tu jeden z nich powiada:

— Zatrzymaj się, bracie! A gdzież to wiesz te choinki? Spojrzałem na mołojca i aż mi dech zaparło. Najwyższy był ze wszystkich, twarz zuchwała i jakaś wesoła, a oczy jak u sokoła.

— Do miasta — mówię — wiozę. Na sprzedaż. My tu — powiadam — z kolegami węgiel drzewny wypalamy w lesie. Sprzedam choinki to i będzie z czego urządzić wilię.

Mołojec roześmiał się. Żeby jak u wilka, równe i białe. — No, to jedź z Bogiem! Ale przedtem nie odmówisz chyba poczęstunku? Ej, chłopaki, czas już na śniadanie.

Patrzę, jeden z mołojców wyciąga z worka białą bułkę pszenną, jakiej już od dawna nie widziałem, pęto kielbasy i dwie butelki czyściochy.

Ten najstarszy puknął ręką w dno butelki, korek zaraz wyleciał.

— Pij!

Pociągnąłem dobry łyk bez ceregieli i od razu poczułem jak mi się gorąco robi w żołądku.

— Dawno już pracujecie w lesie?

— A będzie od jesieni.

— To ja was kiedy odwiedzę.

— A co pan tam będzie robił?

— Zobaczysz — mówi i śmieje się, a śmiech u tego człowieka przyjemny i zadziorny.

No, pojadłem dobrze i wypilem. Chłopaki poczęstowali mnie papierosem. Jak żyję takiego nie paliłem, drogi, zagraniczny.

— Dajcie mu całą paczkę — mówi starszy. — Niech ma na drogę.

Podziękowałem grzecznie i chwytam za sanki, aż tu z prawej i lewej strony rozległy się krzyki.

— Złe — mówi mołojec — obława. Nie ma się czego bronić, poddajemy się. Ech, sami jesteście sobie winni, ale trudno. Prędko pakować broń w śnieg i zadeptać.

Widzę, nadlatuje z pół sotni milicji konnej.

Podniosłem ręce do góry i ani się spostrzegłem kiedy miałem już na nich kajdanki.

Podszedł do mnie komendant, chłop, jak sosna, rewolweru jeszcze nie schował do kabury.

— Garbaty — powiada — a też mu się zachciało rozboju! A mnie jak by kto w gębę dał. Siowa nie mogę wykrztusić.

— Puście go, — mówi mołojec — on niewinny. To węglarz. Zatrzymałem go kiedy szedł do miasta sprzedawać choinki. Puście, ja za niego ręczę, towarzyszu komisarzu.

Komisarz uśmiechnął się pod wąsem.

— Jeszcze nie ma tak dobrze, Pietrow. Do miasta niedaleko, tam sprawę rozpatrzą. Więc to twoje choinki, powiadasz?

— Nie moje, arteli.

— Możesz je zabrać ze sobą.

Przełożono mi sznur od sanek przez ramię. Poszliśmy. Pietrow szepnął mi do ucha:

— Nic się nie bój, bracie. Już moja w tym głowa, żeby cię zwolnili. Ale dzisiejszą noc to już musisz przesiedzieć w mamrze. Dam ci dobrą radę. Jeśli mnie posłuchasz unikniesz łania, które czeka każdego nowicjusza. Jak wejdiesz do celi zobaczysz na ziemi czystą chusteczkę. Nie omijaj jej tylko podepcz. Po tym chłopaki przekonają się, że nie pierwszy raz jesteś w pace. Później musisz się kupić kolegom. Pieniądze ci zabiorą przy rewizji, ale papierosy zostawią. Oddaj papierosy staroście.

Chciał coś jeszcze powiedzieć Pietrow, ale jeden z milicjantów rozdzielił nas.

— Ej, wy tam — zawołał — nie zmawiającie się!

No, i w niecałą godzinę doszliśmy do miasta i na Zagać, gdzie więzienie. Nie potrzebuję wam mówić jakiego miałem pietra. Na naszej świętej Rusi póki cię nie posadzą wolny jesteś, ale jak raz złapią — choć ty i niewinny jak Baranek Boży — bieda, już nie wypuszczą. A najgorzej mi po głowie chodzi co też powiedzą koledzy i wuj Makarycz. Nic tylko, że pieniążki przepiłem.

A w więzieniu tak było akuratnie jak przepowiedział Pietrow. Rozebrali mnie najpierw do naga — portki, rubachę i tułup przeszukali z dziesięć razy, ale nic nie znaleźli, bo i nie mogli znaleźć. Tylko się do papierosów przyczepili.

— Takie same papierosy jak u innych bandziorów. Zagraniczne, musi amerykańskie. Przez te papierosy, bratku, już ty leżysz, nie wywiniesz się.

No, i potem jak oddali odzienie i ubrałem się strażnik zaprowadził mnie do celi, drzwi otworzył i od razu smród na mnie buchnął, bo w tej celi ze dwudziestu chłopów siedziało i parasza stała przy drzwiach. Patrzę, a tu rzeczywiście białuśka chusteczka leży na ziemi, a ja zaraz na nią brudnymi buciurami szast-prast!

Słyszę — więźnie do siebie mówią:

— Zuch — swój chłop!

Podniosłem głowę, popatrzyłem i serce we mnie zamario. No, mówię, wam, mordy jedna w drugą, z takimi strach w ciasnej ulicy się spotkać. Ale najgorszy ten co stał przede mną — krostowaty, żółty na gębę, oczki świdrowate, złe, a łapa jak bochen. Jak ten przymaluje to już, bracie, nakryjesz się nogami.

— A za co się ty tu dostałeś, hę? — pyta i czuję ręką go świerzbi.

A mnie ciarki po grzbiecie przechodzą, ale nie pokazuję strachu po sobie.

— Za rozbój — mówię — trzech — powiadam — facetów rąbnąłem, tylko trociny z nich poleciały, towarzyszu starosto.

Słyszę, szmer uznania rozlega się po celi. Starosta też łaskawie! na mnie spojrzał.

— Dobra, — powiada — zostałeś przyjęty.

A ja papierosy z kieszeni wydaję.

— Na wasze ręce, starosto, dla koleżków. Nic więcej nie mam, bo mi w kancelarii wszystko odebrali.

No, starosta się uśmiechnął, wziął, a ja poszukałem sobie miejsca gdzieby przeczupnąć. Dwóch się takich usunęło, usiadłem boczekiem na narze.

A tu drzwi się otwierają, patrzę, wprowadzają Pietrowa. Baranica jak z igły, buty wyczyszczone, świecą się — jak on je wyglansował diabeł wie! Ale nie zdążył jeszcze dobrze wejść, a starosta podskoczył do niego i prast go w gębę. Inny od takiego uderzenia byłby się przewrócił, a Pietrow nic, nawet się nie zachwiał. Tylko na tego starostę spojrzał z uśmiechem i mówi:

— Czy ty wiesz kogoś uderzył? Pietrow jestem.

A starosta jak to usłyszał padł na kolana, łapie Pietrowa za rękę, całuje i płaczącym głosem woła:

— Wybacz ty mi, gołubczyk, nie wiedziałem! Choć zabij

— powiada — tylko nie gniewaj się. Jak ja na ciebie, grzeszny, mogłem wyciągnąć rękę!

— No, już dobrze — mówi Pietrow — nie mam do ciebie pretensji. Tylko na drugi raz nie bądź taki prędki. Twoje szczęście, że trafiłeś na mnie, a nie na koleżkę, Prochorowa — i pokazuje na mnie, — bo ten jak by ci oddał to byś się nie pozbierał.

Od tego czasu, mówię wam, bandziory mieli mnie w wielkim szacunku przez cały czas jak siedziałem z nimi, a trwało to trzy dni i dopiero na czwarty — zaprowadzono mnie do śledczego.

Pokój był duży, cały pomalowany na zielono, że człowiekowi mogło się zdawać, że jest w lesie, a śledczy siedział przy biurku i palił papierosa. Chłop był gruby, dziobaty na gębę, włosy spadały mu na oczy, pewnie marynarz, a tacy najgorsi.

— Siadaś tu — mówi — kochany, na krzeselku. Może papierosika?

A mnie niczego się tak nie chciało jak palić.

— Poproszę — powiadam — towarzyszu sędzio.

No, to dał mi papierosa i widzę uśmiecha się.

— A może napijemy się, co?

Widzę otwiera biurko, a tam koniaczek, kieliszki dwa stoją i chleb z kawiozem i łososiem.

— No, mówi — nie krepuj się, pij!

Nalał, trącił się kieliszkiem. Koniak był dobry, kaukaski.

— Jeszcze na jedną nogę!

— A teraz — powiada — porozmawiamy. Ty mi kochany, opowiedz, jak to było z tym bankiem w Pieriejasiawiu. Gdzie schowaliście pieniądze?

Patrzę ja na niego jak wół na malowane wrota, oczy wytrzeszczam, nie wiem czego ode mnie chce.

— O jaki bank wam chodzi, towarzyszu sędzio? A toż ja nawet nie byłem w Pieriejasiawiu. Noga moja tam nie stąpnęła.

Widzę, śledczy nachmurzył się, ale wciąż jeszcze odzywa się miodowym głosem:

— Przrzekliśmy sobie, że porozmawiamy po przyjacielsku. Po co ja mam cię, kochany, przekonywać, że trzeba mówić prawdę i nie zapierać się. Gdzie forsa?

— Ale ja naprawdę nie wiem, jak Chrystus na niebie!

Patrzę, śledczy zmienił się na twarzy, oczy mu się zrobiły złe.

— A toś ty taki, bratku!

I wyciąga rewolwer. A mnie dusza poszła w pięty. Myślę sobie: ostatnia godzina nadeszła.

— Będziesz ty zaraz śpiewał — powiada śledczy — więcej powiesz, niż trzeba. Ostatni raz cię pytam gdzie schowaliście pieniądze?

— Nie wiem...

A sędzia buch! mnie rewolwerem w ramię. Matko Boska! Świeczki mi w oczach stanęły, nie tylko złamał mi kość. Jak nie ryknę:

— Ludzie, ratunku!

A w tym drzwi się otwierają. Patrzę, wchodzi Pietrow. Rozgniwany, jeszcze go takiego nigdy nie widziałem. Oczy ciskają błyskawice, czoło zmarszczone, jak u wściekłego psa..

— Czego go bijesz — powiada — to człowiek niewinny.

Na jego nieszczęście spotkał nas wychodząc z lasu. Wypiłem z nim, ot i wszystko. Jechał z choinkami do miasta, na sprzedaż.

Widzę, śledczy uspokoił się, schował rewolwer.

— Słuchaj, Pietrow, — mówi — możesz stwierdzić, że on nie należy do twojej bandy?

— A ty tylko spójrz na niego — powiada Pietrow i uśmiech mu powrócił na twarz. — Czy mnie taki łamaga przydał by się na coś? Moi mołojcy muszą mieć trzy arszeny wzrostu i dwa w barach.

Nieprzyjemnie mi się zrobiło jak to usłyszałem. Co on mnie uważa za takiego ułomka? Niechby zobaczył jak sosny rąbię.

A śledczy podrapał się w głowę.

— Słowo, Pietrow?

— Słowo.

Śledczy nacisnął dzwonek i zaraz zjawił się strażnik.

— Wypuście tego durnia — powiada. — Żeby go na oczy nie widział.

— Dopraszam się łaski. Odebrali mi tu pięćdziesiąt rubli i sanki.

— Oddać mu — i odwrócił się do mnie plecami.

Był jasny i mroźny poranek kiedy wyszedłem na świat Boży. Patrzę, ludzie chodzą po ulicach odświętnie ubrani, sklepy pozamykane. Policzyłem w myśli, zgadzało się, był to już drugi dzień Bożego Narodzenia. Pojechałem z pustymi sankami do restauracji, bo choinek nie było, ktoś się nimi zaopiekował, kupiłem kilka butelek czyściochy i do lasu.

Chłopaki kiedy mnie zobaczyli krzyknęli ze zdumienia. Podobny byłem więcej do ducha, niż żywego człowieka. Może nie mi wierzyć albo nie, ale takie trzy dni mamra swoje robią. Dopiero kiedy opowiedziałem, co się ze mną działo nie chcieli wierzyć.

Wuj Makarycz poskubał siwą bródkę i powiada:

— To ci się i tak upiekło, synku!

Myślę, że to prawda.

Minęło może ze trzy tygodnie. Siedzimy wieczorem przy ognisku i opowiadamy sobie bajki, aż tu z lasu wychodzi jakiś człowiek.

Patrzę, Pietrow. Na baranicy śnieg, widać przeciskał się pomiędzy krzewami, ale buty świecą się jak by dopiero co wyczyszczone.

— Prochorow, — powiada — jak się masz?

A sokołe oczy śmieją się.

Gapię się na niego i ze zdziwienia i zaskoczenia gęby nie mogę otworzyć.

— Mówiłem ci przecież, że cię odwiedzę — powiada — pamiętasz? Jak tam ramię, jeszcze boli?

Spojrzał na mnie i roześmiał się.

— No, bywajcie, chłopcy, czas mi w drogę.

I jak jasny promień znikł w lesie.

Po kilkunastu minutach na polanie zaroilo się od milicji.

— Nie widzieliście czasem — powiadają — wysokiego mołojca w baranicy i w butach z cholewami?

A ja już gębę otworzyłem, dobrze, że mi Makarycz nadeptał na nogę.

— Nie, — mówimy — nie widzieliśmy. Nie przechodził tu żaden.

Kauczuk...

Dok ze str. 15

Inna rzecz, że jak to zwykle bywa, gdy nie ma metody to nie ma, ale gdy się wreszcie pojawiła to badania są już tak rozpedzone, że zostają pracowane — druga, trzecia i dalsze metody. Tak było również z kauczukiem syntetycznym. Odkryto przede wszystkim, że tańszym surowcem, niż spirytus są gazy odpadowe przy rafinacji ropy naftowej. Ale nawet, gdy chodzi o zastosowanie spirytusu jako surowca istniały w tym czasie dwie metody — jedna polska i druga amerykańska opracowana przez wielki koncern chemiczny Union Carbide. Inż. Szukiewicz twierdził, że polska metoda jest lepsza, Amerykanie — przeciwnie. Kwestia ta nie da się zapewne nigdy rozstrzygnąć obiektywnie.

Ostatnio Brazylia, dawne królestwo kauczuku, zaczęła się interesować kauczukiem syntetycznym. Brazylia i kauczuk syntetyczny? Wydaje się to czymś niepojętym. Tymczasem sprawa jest bardzo prosta.

W r. 1910 Brazylia wyeksportowała 40.000 ton kauczuku, a ponieważ praktycznie biorąc, stanowiła jedyne źródło tego surowca, więc tyle mniej więcej wynosiło zapotrze-

bowanie światowe. W r. 1962 zapotrzebowanie wyniosło 4.400.000 ton. Wzrosło zatem ponad stokrotnie w ciągu niewiele więcej, niż 50 lat. Jest to rekord, którego nie pokłó dotąd żaden inny surowiec poza ropą naftową. Fantastyczne zwiększenie spożycia ropy i kauczuku ma jedno i to samo podłożę: rozwój przemysłu samochodowego.

Produkcja światowa kauczuku dzieli się prawie po połowie na kauczuk naturalny i syntetyczny. Kauczuk syntetyczny produkowany jest w kilku gatunkach, żaden jednak z nich nie jest identyczny z kauczukiem naturalnym. Do określonych celów przemysłowych nadaje się lepiej kauczuk naturalny, do innych — syntetyczny. Dlatego też dotąd kauczuk roślinny nie stracił swego znaczenia. Produkuje się go ponad 2 miliony ton rocznie. Porównajmy tę liczbę z bagatelną produkcją Brazylii w r. 1910, z owymi 40 tys. ton. A trzeba dodać, że w okresie wielkiej koniunktury wyczerpano i przetrzebiono kauczukodajną hevea w lasach brazylijskich i choć i dzisiaj w dorzeczu Amazonki *seringueiros* pracują w pocie czoła produkcja Brazylii wynosi obecnie niewiele ponad 20 tys. ton.

Tymczasem zapotrzebowanie brazylijskiego przemysłu gumowego wynosi już co naj-

mniej trzy razy tyle. Różnicę pokrywa się z importu.

Chcąc zahamować import już w r. 1959 przystąpiono do budowy pierwszej fabryki kauczuku syntetycznego w Duque de Caxias w stanie Rio de Janeiro. Fabryka ta nastawiona na wykorzystanie gazonów odpadowych z wielkiej rafinerii ropy naftowej, położonej w tymże Duque de Caxias, została uruchomiona w r. 1962 i ma produkować do 40 tys. ton kauczuku syntetycznego rocznie.

We wrześniu r. 1962 obiegła prasę wiadomość o zamierzonej budowie przy pomocy finansowej amerykańskiej m. in. za pośrednictwem "Przymierza dla Postępu" — drugiej fabryki kauczuku syntetycznego.

Tym razem chodzi o pomoc dla Nordeste. Fabryka będzie usytuowana w stanie Pernambuco i ma być nastawiona na użytkowanie spirytusu z trzciny cukrowej, który można tam produkować w dużych ilościach.

Jest to więc dziedzina gdzie polska metoda produkcji kauczuku syntetycznego mogłaby być zastosowana. Ale ponieważ finanse są amerykańskie, budować ma firma amerykańska, część maszyn nadejdzie ze Stanów Zjednoczonych więc szanse dla metody polskiej są żadne.

A. Gawar

Ukaszanie, którego nie było

TAJEMNICE Z ŻYCIA WĘŻÓW

Miałem przed laty przyjaciela, który zarządzał młynem herwowym na Itapema w Antoninie. Nie był to właściwie młyn tylko wielki murowany barak; ładowano tam herwę do beczek i wysyłano statkami do Argentyny.

Barak był pozostałością po młynie komendanta Antonia Alvesa de Araujo, sławnego w swoim czasie polityka i bogatego przemysłowca. W latach od roku 1875 do 1885, gdy Antonina znajdowała się u szczytu powodzenia, był to największy młyn w tym mieście. Od rana do nocy zdejmowano herwę z wozów przybywających z Kurytyby i Campo Largo, od rana do nocy uwijali się czarni niewolnicy przy stępach poruszanych wodą. Utłuczona herwę wysypywali do skórzanych worów, zwanych *surrões*, ubijali zawartość drążkami, zaszywali paskami surowej skóry, a następnie pełne wory kładli na głowy tragarzy. Ci zaś po drewnianym pomoście zwanym *trapiche* wynosili wory na barki stojące w porcie.

W czasie, gdy tam bywałem, wszystko się zmieniło. Stał tylko barak, a nad morzem wznosił się pomost. W baraku znajdowały się warsztaty bednarskie, w których wykonywano beczki do pakowania herwy. Leżała tam w kącie wielka kupa żelaznych kajdan z łańcuchami, w które zakuwano niewolników. Były ich trzy rodzaje — na szyję, ręce i nogi. Wiele z nich owiniętych było jeszcze skrwawionymi szmatami.

Herwa przybywała koleją do miasta, skąd zwożono ją do baraku wózkami zaprzężonymi w woly. Ładowano ją tam w beczki lub jutowe worki, znaczone i wysyłano do Argentyny.

Zastąpiłem przyjaciela w magazynie. Ważył właśnie herwę. Nie przerywałem mu tej czynności dopóki nie skończył. Poszliśmy wreszcie do niego na obiad do olbrzymiego murowanego budynku w stylu kolonialnym. Wszystko tam było wielkie: weranda, salon, jadalnia, pokoje, sypialnie, okna i drzwi. W wysokich pokojach panował przyjemny chłód.

Był to pałac komandora Araujo. Przed pałacem rósł rząd wspaniałych palm królewskich.

W czasie obiadu przyjaciel mój, odznaczający się rozmownością, opowiadał co dobre. Go zrobił komandor dla Antoniny i Parany. Dowiedziałem się, że przez kilka lat sprawował funkcję prezydenta Parany i że w r. 1873 reprezentował Brazylię na wystawie w Wiedniu. Będąc w Wiedniu poznał polskich emigrantów jadących ze Śląska do Ameryki. Bardzo mu się podobali. Po powrocie do Brazylii polecił Polaków jako dobry element do kolonizowania Parany.

Wyszliśmy następnie, trochę się przejść. Obejrzałem zaporę wodną, z której woda spadała na koło młyńskie poruszające dziesięć tłuczków do mielenia herwy. Ale koła i tłuczków już nie było. Woda z zastawy uchodziła beużytecznie murowanym kanałem do morza.

Powyżej zapory na pagórku wznosiło się białe, lśniące w słońcu, mauzoleum. Spoczywał w nim komandor Araujo. Nad grobem na kolumnie z czarnego marmuru stał anioł z trąbą u nogi, aby gdy przyjdzie godzina Sądu Ostatecznego zatrzęść na powstanie umarłych.

W pobliżu na innym wzgórzu znajdował się

niewielki, murowany dom. Z podwórza tego domu roztaczał się prześliczny widok na zatokę, Antoninę i sławny jej kościół Matki Boskiej z Pilar.

— Chce pan zobaczyć najstarszą parę małżeńską w Antoninie? — zapytał mój przyjaciel.

Weszliśmy do obszernego pokoju. Siedział tam atletycznie zbudowany czarny starzec i naprawiał *covó* 1) na ryby. Wysoka, koścista kobieta tiukła upaloną przed chwilą kawę, której zapach unosił się w powietrzu.

Gospodarz miał sympatyczną i inteligentną twarz. Dowiedziałem się, że byli wraz z żoną niewolnikami komandora i że za długie lata służby ofiarowano im dożywocie w majątku.

Zapytałem, czy pamięta Afrykę.

— Miałem trzydzieści lat, kiedy zostałem schwytany przez sąsiednie plemię i sprzedany Arabom, a następnie odsprzedany Portugalczykowi. U komandora Araujo służyłem jako niewolnik 42 lata.

Popatrzyłem na niego. Liczył sobie 90 lat, żona była od niego młodsza o dwa lata. Oboje byli krzepcy i pracowici. Uprawiali niewielkie pole leżące na wzgórzu poza domem.

Kawa, którą gospodyni podała, miała znakomity smak. Piliśmy i chwalili. Na przyjemnej rozmowie upływał szybko czas. Spojrzałem na zegarek i spostrzegłem, że czas mi już na pociąg.

W niespełna rok odwiedziłem znowu Antoninę. Jadąc wózkami do Itapema dowiedziałem się od woźnicy, że stary Murzyn, były niewolnik komandora Araujo jest umierający. Podobno zabił węża i czeka go za to śmierć.

— Czy wąż go ukąsił?

— Nie, ale nie wolno mu zabijać żmij i dlatego umrze.

Nie mogłem z tego nic zrozumieć. To też po przybyciu do Itapema wybrałem się zaraz do domu starego Murzyna.

Drzemał na stołeczku w przedpokoju. Kiedy wszedłem otworzył oczy i powiedział:

— Żle ze mną, senhor. Przyszła po mnie śmierć.

— Ale co się stało?

— Zabiłem małą żararakę.

— Ucięła pana?

— Och, panie, nie. Motykowałem, a ona siedziała w zagonie w odległości raczki od gracy. No i zabiłem ją. Kiedy to się stało zrozumiałem od razu co mnie czeka.

— Więc nie ucięła?

— Nie, senhor.

— A więc nie ma niebezpieczeństwa.

— A jednak muszę umrzeć. Zaraz to panu wyjaśnię. Widzi pan w Afryce mieszka dużo jadowitych węży. Kiedy miałem sześć lat ojciec, chcąc mnie zabezpieczyć przed ukąszeniami żmij zaprowadził mnie do znachora.

Znachor posadził mnie na wysokim stołku i powiedział:

“Cokolwiek by się działo — nie bój się. Nie stanie ci się nic złego”.

Wszedł do ciemnej komory w głębi chaty i po chwili ukazał się z ogromnym wężem pytonem. Jeszcze raz mnie przestrzegł, żebym się nie bał i włożył mi pytona na szyję, owinał dokoła szyi dwa razy i dał głowę do potrzymania. Odmawiał potem jakieś zaklęcia, ja zaś siedziałem grzecznie dopóki nie zabrał węża i nie zaniósł z powrotem do komory.

“Jesteś już teraz zabezpieczony przed ukąszeniami żmij. Żadna cię nie ruszy, choćbyś jej nadepnął na ogon. Pamiętaj, że nie wolno ci odtąd zabijać węży. Jeżeli którą zabijesz umrzesz jakbyś został przez nią ukąszony”.

Od tego czasu nie zabiłem ani jednego węża, choćby mi się płała pod nogami, nigdy się też nie bałem żmij. Do wczoraj, panie, kiedy przeciąłem gracą niechcący małą żararakę. Kiedy zobaczyłem, że nie żyje zrozumiałem, że muszę umrzeć. Poczulem też od razu lekki ból w prawej nodze.

Pokazał mi nogę. Nie było na niej śladu ukąszenia, ani nie była spuchnięta, tylko lekko zaczerwieniona powyżej kostki.

Tegoż dnia odjechałem do Kurytyby. W tydzień potem otrzymałem list od przyjaciela z Itapema. Donosił, że były niewolnik komandora Araujo zakończył życie po pięciu dniach spokojnego oczekiwania na śmierć.

Kiedy to wydarzenie opowiadałem przyjaciołom w Kurytybie byli zdania, że stary Murzyn umarł z autosugestii, czyli z silnej wiary, że po zabiciu węża czeka go śmierć.

Przyznawałem im poniekąd rację. Ale jak wytłumaczyć w takim razie, że w czasie długiego życia nie tknęła go żadna żmija, chociaż się wśród nich bezustannie obracał? Jest to pytanie, na które nikt mi dotąd nie umiał odpowiedzieć.

PINIÓR.

UWAGI:

1 — *Covó* — pulapka na ryby.



Lajkonik krakowski.

PRZEGLĄD WAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ

... W SÃO PAULO:

Dwa ważniejsze wydarzenia kulturalne są do odnotowania w tym na ogół martwym sezonie letnim w São Paulo.

W Stowarzyszeniu im. Józefa Piłsudskiego odbyła się uroczysta akademicka ku czci setnej rocznicy Powstania Styczniowego, a w Klubie 44 miało miejsce spotkanie z inteligencją polską, zamieszkałą w São Paulo, znanego poety warszawskiego Antoniego Olchy.

Pomimo, iż spotkanie z Antonim Olchą z powodu krótkiego czasu na jego przygotowanie było raczej zaimprovizowane w salonach Klubu 44 zgromadziło się wiele osób, które niezwykle ciepło przyjmowały nieco stromowanego poetę. Olcha umie sobie zjednać publiczność, potrafi trafić do jej serca. Mówi w sposób prosty, bezpośredni, nie siląc się na wyszukane frazy.

W pierwszej części programu poeta zapoznał zebranych z życiem literatów polskich, krótkie sylwetki niektórych z nich, w drugiej zaś części przeczytał kilka wierszy z ostatniego swego zbioru poezji pt.: "Różne strony czasu". Wiersze te spotkały się ze strony publiczności z dużym aplauzem, są one przeniknięte dyskretnym sentymentem, ich przyciszony ton tym mocniejszy znajduje oddźwięk w czytelnika.

Poecie towarzyszyła jego Małżonka, z którą mieliśmy możliwość zamienić kilka słów. Oboje pozostawili jak najlepsze wrażenie wśród członków Klubu i zaproszonych gości. (ass)

... W KURYTYBIE:

Od niedawna stare stowarzyszenie polonijne União Juventus wykazuje ożywioną działalność. Zawdzięczać to należy zastrzykowi świeżej krwi.

Widać to wszędzie: młodzież wypełnia codziennie wszystkie sale domu stowarzyszenia, w każdym zakątku słychać mowę polską.

Biblioteka funkcjonuje, książki przechodzą z rąk bibliotekarzy w ręce czytelników. Kierownik biblioteki, Paweł Kostycha, nie zasypuje gruszek w popiele, jego entuzjazm jest zaraźliwy. Dzięki temu poczet czytelników zwiększa się z dnia na dzień.

Duże ożywienie panuje również w dziale społecznym, prowadzonym przez młodego Mieczysława Surka, znanego w kołach przyjaciół pod pseudonimem: "Dzieciatko Lwowskie". Dzielnie mu sekundują: Wacław Kowalczyk i dr Cadilhe de Oliveira. Organizowane przez dział wieczorki sportowe i taneczne w siedzibie wiejskiej stowarzyszenia cieszą się niezmiennym powodzeniem. Życie, młodość, wesołość powróciły do tego przepięknego zakątka, najładniejszego w całym mieście.

Sekretariat pod wodzą prezesa Rizio Wachowicza przeprowadza wielką kampanię, mającą na celu zwiększenie liczby członków. W chwili obecnej Stowarzyszenie liczy 1527 aktywnych członków.

Do wielkich osiągnięć towarzystwa i kolonii polskiej należy zorganizowanie zespołu teatralnego.

Teatr był zawsze znakomitą szkołą języka i kuźnią nowych idei. Kolonia polska w Kurytybie już od dawna odczuwała potrzebę stworzenia własnego teatru. Jakikolwiek przedstawienie, nawet niedoskonałe, spotykało się zawsze z entuzjastycznym przyjęciem. W ostatnich czasach po samoradnym, niejako wystawieniu trzech sztuk teatralnych zaistniała potrzeba ujęcia ośrodka amatorskiego, liczącego już ponad 40 artystów, w ściślejsze ramy organizacyjne.

Myśl ta spotkała się z całkowitym poparciem ze strony prezesa Rizio Wachowicza. Na zebraniu inauguracyjnym artyści wybrali kierownictwo działu teatralnego. Zaznaczyć należy, że zebranie to odbyło się w atmosferze roboczej, pełnej entuzjazmu i serdeczności.

Kierownictwo działu zaplanowało do wystawienia cztery sztuki teatralne i przedstawienia rewiowe. Artyści teatru amatorskiego przystępują do pracy z wielkim zapałem, nie zrażając się początkowymi trudnościami, i zdając sobie doskonale sprawę z doniosłości swoich poczynań.

Kierownictwo działu ukonstytuowało się w sposób następujący:

Przewodniczący — Leonard Cegielkowski, wiceprzewodniczący — Henryk Kujawa, sekretarz — Mieczysław Rusiecki i skarbnik — Tadeusz Bierut.

W DZIALE FOLKLORU odbyły się dnia 14 lutego wybory kierownictwa na r. 1963. Przewodniczącym został prof. Leonard Salata, który mimo ukończenia 60 wiosen zabrał się z zapałem młodzieńca i zwykłą swą sumiennością do wykonywania obowiązków, mających na celu kultywowanie naszych tradycji kulturalnych i zademonstrowanie innym grupom etnicznym naszej sztuki i muzyki ludowej poprzez śpiew jak zawsze pod batutą ks. Józefa Zająca i taniec pod kierownictwem Haliny Marcinowskiej i Wandy Franczakówny.

W skład kierownictwa działu weszli jako przewodniczący: prof. Leonard Salata, jako wiceprzewodniczący — Radomir Celiński i jako sekretarz generalny — Maria Helena Kozakówna. Pierwszym sekretarzem został: Józef Rendak, pierwszym skarbnikiem — Robert Kantor, a drugim skarbnikiem — Feliks Golas. Stanowisko t. zw. mówcy objął prezes Rizio Wachowicz, a kierownictwo zespo-

łu muzycznego — Stefan Giller. Wreszcie w skład komisji kostiumowej weszły pp.: Helena Jagiełłowa, Maria Gillerowa, Apollonia Kozakowa i Lidia Gaioska.

Nowemu kierownictwu składamy najlepsze życzenia kontynuowania na przyszłość dotychczasowej świetnej działalności, prowadzącej do powiązania braterskiego obydwu narodów brazylijskiego i polskiego.

Potomkowie Polaków, zamieszkałych w Brazylii, słysząc stale o wielkiej przeszłości swego narodu, o jego tysiącletniej kulturze, lecz w rzeczywistości mało się stykają z obyczajami tej kultury. Aby wypełnić tę lukę kierownictwo Stowarzyszenia postanowiło powołać do życia DZIAŁ KULTURALNY. Zadaniem tego działu ma być organizowanie festiwali artystycznych, koncertów, wystaw itp. aby wykażać udział Polaków w kulturze ogólno-światowej.

Kierownictwo działu powierzone zostało prof. Wiktorowi Gardolińskiemu, którego dynamizm i urodzona energia każą przypuszczać, że zdola przezwyciężyć nasz przysłowiowy letarg w tej dziedzinie.

Na zakończenie kilka słów o nowopowołanym DZIALE WYDAWNICZYM. Kierownictwo tego działu powierzono młodemu profesorowi Michałowi Kosińskiemu. P. Kosiński, uprawiając z powodzeniem poza nauczaniem również dziennikarstwo, obiecuje powołanie do życia w krótkim czasie wydawnictwa miesięcznego o charakterze biuletynu, zorganizowanie programu radiowego i telewizyjnego jak również propagowanie działalności stowarzyszenia na łamach prasy miejscowej i pozakurytybskiej.

W końcu tego przydługiego sprawozdania podajemy imprezy kulturalne Stowarzyszenia União Juventus, które mają być zorganizowane w maju br.:

1 maja — wielka wieczornica teatralna.

3 maja — Akademia Trzeciomajowa i występ grupy folkloru.

4 maja — Bal Doroczny.

Jak widzimy program niemały!

(fd)

Antoni Olcha po raz trzeci w Brazylii

W styczniu i w lutym br. bawił w Brazylii wraz z małżonką znany pisarz, Antoni Olcha. Jest on członkiem Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, przewodniczącym Komisji Zagranicznej Związku Literatów, członkiem władz polskiego PEN Clubu i generalnym sekretarzem Towarzystwa Polsko-Brazylijskiego w Warszawie.

Mimo piastowania tytułu zaszczytnych stanowisk Antoni Olcha sprawia wrażenie człowieka niezmiernie przystępnego i prostego. Nie ma w nim za grosz fanfaronady i pozy. Od razu udaje się nam nawiązać szczerą i pełną żywych akcentów rozmowę. Olcha ma w sobie coś z dużego dziecka. Jego wielkie niebieskie oczy i okrągła twarz, z której nie schodzi uśmiech, mimo pozorów dobroduszości mówią o dużej wrażliwości artystycznej.

Pierwsze nasze pytanie dotyczy Brazylii.

— Jestem tu już po raz trzeci — mówi Olcha — i im bardziej poznaję ten kraj tym bardziej jestem w nim zakochany. Po raz pierwszy odwiedziłem Brazylię w roku 1957. Rezultatem tej wyprawy była książka pt.: "Szumia dęby nad Iguaçu", mająca charakter reportażu ze skupisk polskich w Brazylii. Po raz drugi byłem w Brazylii w latach 1958 - 59 i podróż ta znalazła swój wyraz w wierszach tomu: "Wiosenna ziemia", który został wydany w roku 1959 i tomu: "Różne strony czasu", który ukazał się w r. 1961. Obecna moja podróż ma dwójaki cel: po pierwszy zbieram materiały do antologii

wierszy poetów brazylijskich, a po wtóre chcę pokazać Brazylię swojej żonie. Niestety, wszystko co dobre kończy się. Niezadługo porzucam gościnne brzegi Brazylii, gdzie zawsze doznaję tyle serca zarówno ze strony naszych rodaków, jak i gospodarzy tej pięknej ziemi — Brazylijczyków.

Pytamy Antoniego Olchę o jego dotychczasowy dorobek literacki.

— Rozpocząłem swoją działalność literacką w okresie międzywojennym tomem wierszy: "Spod strzechy", w r. 1935. Przed wojną ukazał się jeszcze tom poezji: "Przed świtem", wydany w r. 1935. Po wojnie w r. 1948 pojawiły się moje "Zwierciadła", a następnie sprzeniewierzyłem się poezji. Napisałem "Nową Naprawę", opowieść dokumentarną o przesiedlaniu się chłopów polskich na Ziemię Zachodnie oraz dwutomową powieść: "Most nad urwiskiem" z życia wsi. Opracowałem poza tym szereg utworów scenicznych, granych w teatrze Polskiego Radia i na scenach amatorskich. Jedną z tych sztuk jednoaktówka z prologiem i epilogiem z czasów Władysława Łokietka pt.: "Rok 1329" została wyróżniona pierwszą nagrodą przez Komisję Koordynacyjną przy Ministrze Kultury. Napisałem ponadto szereg szkiców krytyczno-literackich, ostatnio zaś esej o "Jędrzeju Czerniaku", twórcy teatru ludowego w Polsce. Parałem się także dziennikarstwem. Przez pewien czas redagowałem czasopismo "Rolnik Polski", później

Dck. na str. 21

TERRA RICA

Nad rzeką Parapanema w Północnej Paranie rozciąga się szeroki pas nizin pokrytych wielką łąką, zielenią kawy, śnieżną płachtą bawełny.

Terra Rica przyciąga ludzi ze wszystkich zakątków Brazylii. Wędrowali na te niziny o łagodnych górzach pagórkach awanturcy, biedota z Nordeste, małorolni gospodarze z Południa, jedni po kawałek chleba, inni po łatwy grosz.

Przybysze wycieli lasy, wypileni chwały, w żyzną glebę wrzucili urodzajne ziarno. Znojna praca dostarczała chleba i pieniędzy, lecz wółka o lepsze jutro trwała nadal.

Do zakątka tego przyjechał przed jedenastu laty rodak nasz, Piotr Filipak, liczący wówczas 45 lat, potomek znanej rodziny na Południu. Wkrótce założył sklep w samym centrum Terra Rica, postawił tartak. Tętno deski i handlował. Jego dobre serce, usługowość, humor i pracowitość jednaly mu powszechne uznanie.

W powiecie panował się niesamowity bałagan administracyjny. W ciągu sześciu lat niezależności Terra Rica miała pół tuzina prefektów. Ostatni z nich spalił prefekturę wraz z dokumentami i zwił.

Strapieni obywatele, szukając jego następcy, zatrzymali się na osobie Filipaka. Słynął jako człowiek ruchliwy, przedsiębiorczy, o szerokich poglądach, a przede wszystkim uczciwy. Piotr Filipak początkowo opierał się wystawieniu swojej kandydatury, ale w końcu uległ prośbom przyjacieli. Demokracja z przekonania, katolik, bez żadnych wydatków na propagandę wygrywa nadspodziewanie łatwo w wyborach.

Obejmując rząd z ramienia partii Chrześcijańsko-Demokratycznej zastępuje pustki w kasie, fatalną administrację, spalony gmach prefektury.

Nie zraża się tym jednak, nie zalamuje rąk. Zakasując rękawy zabiera się do pracy. Dokłada do gospodarki municypalnej z własnej kieszeni, walczy z opozycją. Buduje drogi przez puszcze, rozszerza ścieżki wśród zielonego morza kawy, buduje mosty, rozbudowując swoją elektrownię daje miastu światło elektryczne. Przeciwnicy polityczni opuszczają pięści, stają zgodnie do współpracy.

Filipak opowiada z uśmiechem:

"W ciągu półtora roku zbudowanych

zostało 400 kilometrów nowych dróg, w tym 60 km po 13, a reszta po 7 m. szerokości, kilkadziesiąt mostów. Elektryczność i wodociągi dotarły do wszystkich domów miasteczka (nie jest to już teraz miasteczko tylko kilkotysięczne miasto). Wystarczyło to, aby przestały się klócić partie polityczne. Dziś istnieje tylko jedna partia, partia prefekta..."

I tak jest rzeczywiście. Rada miejska uchwała obecnie bez sprzeciwu kredyty na potrzebne inwestycje, jak np. na budowę studzien artezyjskich, co pochłonie wydatek rzędu miliardów kruzeyrów.

"W tym roku czekają nas trudniejsze i ambitniejsze plany — mówi z fajką w zębach prefekt Filipak. — Przed nowy-

OD LONDRINY DO PARANAVAÍ

Przedsięwzięciem piękną podróż po Północnej Paranie samolotem linii Aerea A-vidões D. C. 3. Zatrzymałam się w Londrinie, Maringá, Paranavaí. Zwiedziłam też mniejsze miasta, posiadające lotniska.

Największe miasto, Londrina, znane mi jest od dawna, gdy chodniki były tam jeszcze drewniane, a jedynym reprezentacyjnym budynkiem — dom towarzystwa kolonizacyjnego.

Prawdę mówiąc miasta na Północy Parany są nadzwyczaj do siebie podobne z tą różnicą, że jedne gęściej zaludnione wysilają się na budynki murowane, inne są jeszcze całkowicie prawie drewniane.

Ulice tych miast to jeszcze nie wybrukowane, szerokie drogi o wąskich chodnikach, wyłożonych kamieniami lub zrujnowanym cementem. Pośrodku ulic sterczą wysokie słupy do sieci elektrycznej, ale elektrownie nie zawsze się wysilają, żeby dawać światło.

Mieszkańcy to przeważnie Portugalczycy, Hiszpanie i Japończycy. Jest też trochę Polaków. Nawet w jednym z miast prefekt i jego żona są polskiego pochodzenia i mówią dobrze po polsku.

Większość tych ludzi to przybysze ze sta-

mi wyherami, które wypadają w październiku, chcą sprowadzić Siostry Szarytki do kolegium, którego fundamenty właśnie zostały założone, zorganizować gimnazjum stanowe, no i nadal budować drogi i upiększać miasto."

Ludność Terra Rica szczyty się swoim gospodarzem. W ciągu niespełna dwóch lat zrobił więcej, niż sześciu jego poprzedników.

Pamiętam jak obwożąc mnie po powiecie wspaniałym swoim Aero-Willysem prefekt Filipak powiedział:

"Ludzie czekają na odważnych! Świat spodziewa się, że wprowadzimy wreszcie w czyn nasze przekonania chrześcijańskie i idee demokratyczne. Piękne plany pozamykane w szufladach nie nasycą niczyjego głodnego żołądka. Czas już położyć kres ospałości."

Tak, to są rzeczywiście sprawiedliwe słowa.

FRANCISZEK DRANKA

nów São Paulo, Rio Grande do Sul i Minas Gerais. Zakładają sklepy, drobne przedsiębiorstwa przemysłowe. Niezbyt dbają o wygląd domów. Dorabiają się, zwijają manatki i wędrują w inne strony. Mało tu takich, którzy osiedlają się na stałe, jest to ludność wędrowna. Nawet ludzie wolnych zawodów zmieniają często miejsce zamieszkania, głównie z powodu gorącego klimatu i braku dobrej wody do picia. Woda z tutejszych rzek jest bardzo niezdrowa. Panuje tu dużo chorób. Epidemie dziesiątkują zwłaszcza dzieci. Lekarze i aptekarze mają szaloną pracę, za którą otrzymują mierne wynagrodzenie, gdyż choroby nawiedzają ludność najmniej kulturalną i osłabioną niedostatkami dobrej wody i żywności.

A swoją drogą cóż to za ruch panuje w tych miastach i miasteczkach! Są to ośrodki o dużej przyszłości, kopalnie złota dla ludzi chcących i umiejących pracować, zwłaszcza dla półanalfabetów, ludzi różnych fachów rękodzielniczych, mocnych, zdrowych, przywykłych do mieszkania jak powiada przysłówie — na wozie i pod wozem.

Dak. na str. 22



Antoni Olcha...

Dok. ze str. 20

w latach 1957-60 tygodnik literacko-społeczny: "Orka". W ostatnich czasach powrócił do pierwszej kochanki — poezji.

No cóż, żeby zakończyć, zawsze pozostawałem wierny swoim ideałom — chłopu i wsi polskiej.

(as)

Z życia towarzyskiego

Dnia 15 stycznia br. w kaplicy św. Teresy w Campanário w stanie Mato Grosso odbył się ślub p. Teresy Gorayskiej, córki Krystyny i Adama Gorayskich, z p. Karolem Lindemannem.

Redakcja "Przeglądu Polskiego" życzy młodej parze szczęścia i pomyślności.

Lucjan Korngold

porzucił nas na zawsze

Umarł Lucjan Korngold.

Nagła śmierć odwołała od warsztatu, pełnego wielkich projektów, architekta plonącego wiecznym entuzjazmem.

Był bezprzecznym jednym z pionierów budownictwa monumentalnego w tym nieodpoczywającym nigdy mieście, cidade que não para, São Paulo i o jego jasnej wizji przyszłej supercap świadczyć zrealizowane już kilkanaście lat temu gmachy jak CBI i Edison.

Dorobek architektoniczny Lucjana Korngolda w dwudziestolecie międzywojennym Warszawy był niepospolity. Mówią o tym niezliczone budynki mieszkalne i rezydencje — część z nich zachowała się mimo pożogi wojennej.

Na firmamencie naszego życia emigracyj-

nego rzadko się zjawiał umysł tak wszechstronny, tak żywotny, tak subtelnie dociepny. Człowiek pełen realnego sensu nigdy nie przestał być estetą o wyrafinowanym smaku. Zawsze był poinformowany i zainteresowany o rzeczach godnych uwagi w architekturze i sztuce, zawsze wiedział, u którego antykwarusza można znaleźć jakiś ciekawy obiekt. Był niestrudzony w woli poznania i aktualizowania tego co poznał.

Życie polonijne i życie kulturalno-towarzystwowe, artystyczne i twórcze São Paulo zubożało bez Niego. Zubożał krajobraz plaży z Guarujá w okresach week-endów.

On, który w rozstaniu odchodził niezauważony bez pożegnania odszedł tym razem na zawsze i trudno się z tym pogodzić.

WIKTOR REIFF

Słowo o Lucjanie Korngoldzie

Inż. Lucjan Korngol urodził dnia 1 czerwca 1897 w Warszawie. Architekturę ukończył na Politechnice Warszawskiej. W swojej działalności zawodowej wybił się od razu na czoło architektów polskich. Wkład jego w architekturę nowoczesną uznano jako pionierski, a prace jego cieszyły się ogólnym uznaniem, otrzymywał za nie wyróżnienia, nagrody i medale (Wystawa Paryska z r. 1937, Bienale w Mediolanie i wiele innych).

Na początku drugiej wojny światowej opuścił Kraj i schronił się w Rumunię. Przebywał tam prawie rok. Król Karol rumuński powierzył mu szereg projektów i własnoręcznie pismem podziękował za ich wykonanie.

W końcu roku 1940 przeniósł się Lucjan Korngold do Brazylii, która stała się dla niego drugą ojczyzną.

Tu, w Brazylii, uzyskał w krótkim czasie sławę jednego z najzdolniejszych architektów i to zarówno w oczach Brazylijczyków, jak i cudzoziemców.

Wśród dzieł Lucjana Korngolda, zasługujących na szczególną uwagę, wymienić należy.

Gmach C.B.I. na placu Ramos de Azevedo w São Paulo, jeden z pierwszych większych budynków z betonu zbrojonego na terenie Brazylii,

Pałac de Comércio koło Teatru Miejskiego, pierwszy budynek handlowy wykonany w Kraju ze stali i betonu zbrojonego,

luksusowy dom mieszkalny Intercap na placu Republica,

budynek Giełdy Zbożowej na ulicy Senador Queiroz,

Ośrodek Handlowy na Bom Retiro, wieżowiec Cogeral na ul. Alvaro de Carvalho,

wieżowiec Alois na ul. 7 de Abril, budynek giełdy w al. Anhangabau i wiele innych.

Od Londriny...

Dok. ze str. 22

Garść pełna, żołądek nie głodny i serce szczere cechuje te strony. Nie przeszkadza to, że ludność jest tu tak kolorowa jak północno-parańskie papugi, którym Indianie wyrwywają piórka i w miejsca po nich napuszczają różnobarwne farby, im tylko znane. Papugi te, po wyrosnięciu nowych piór, stają się pstre, że aż oczy bołą kiedy się na nie patrzeć. Nazywają je *batalclão*.

Jadąc drogą od lotniska do takiego dziwnego nowoamerykańskiego miasta pilnie wypatrywałam kolonistów, którzy zowią się tu *sítianos*, wieśniakami. Mieszkają oni przeważnie daleko od dróg kołowych i los ich nie zawsze jest godny pozazdroszczenia. Ziemia tu wprawdzie żyzna, lodygi kukurudzy dochodzą do 2,5 m. wysokości, ale tytuł jej własności jest najczęściej sporny. Była ona uważana swego czasu za niczyją, *terra devoluta*, i jako taka znajdowała chętnych osiedleńców, t. zw. *posseiros*. Prędzej jednak lub później, gdy pola zostały oczyszczone i zagospodarowane zgłaszają się właściciele, którzy owych *posseiros* procesują i wyrzucają z ich działek. Właściciele ci to potomkowie żołnierzy, którym władcy portugalscy nadawali ziemię za zasługi wojskowe i którzy po zniesieniu niewolnictwa przenosili się do mniejszych fazend lub pałaców w dużych miastach. Stąd też w dzisiejszych czasach sprawa reformy rolnej w tych okolicach jest zagadnieniem najbardziej pilnym.

Helena Werpachowska.

Był Lucjan Korngold czynnym członkiem I. A. B. i współpracownikiem czasopisma *Acropole*. Popierał wszelkie imprezy kulturalne, interesował się wszystkim cokolwiek miało znaczenie w sztuce i nauce.

Wiecznie czynny umarł pozostawiając swój warsztat architektoniczny pełen projektów i nowych idei.

Pozostawił po sobie wielką lukę nie tylko wśród najbliższej rodziny ale całej kolonii polskiej. Zeszedł z placówki jeden z najwybitniejszych przedstawicieli sztuki i intelektu.

Józef Grunpeter

ODEZWA

Towarzystwo União Juventus, największe w Brazylii, pragnąc wyrazić szacunek dla

W BRAZYLII — W BRAZYLII — W BRAZYLII — W BRAZYLII

Jogos Panamericanos

Repórter J. FASSINA

Entrevistado: Nelson Pereira — Técnico de Atletismo do C. R. Tietê de São Paulo e atual preparador da Seleção Brasileira para os jogos Pan Americanos a realizar-se em São Paulo.

— Acredita V. S. na tão falada inferioridade física do nosso povo ou julga que a pobreza orgânica do nosso mestiço é resultante de fatores de fácil ou possíveis remoções, miséria, alimentação que o leve a cuidar com mais inteligencja do seu físico?

— Em nosso País, existe, sem dúvida, uma "inferioridade física", que se prende, porém, não "à raça" ou melhor às raças que entram na composição do nosso povo, mas às "condições de vida" de nossas populações rurais, sertanejas ou prairieiras. A "inferioridade física" do nosso povo não é uma "questão racial", mas um problema social econômico, de saúde pública e de educação. A solução desse problema está numa política de engenharia sanitária ou de saneamento das regiões em que vegetam e se arruinam as nossas populações sertanejas, de viação e de transportes, de habitação, de higiene alimentar, de elevação do padrão de vida das classes populares, rurais e urbanas e por fim, de aquisição, pela educação de hábitos higiénicos entre os quais o gosto e o hábito da água e dos exercícios físicos.

A miséria física e social da grande parte da nossa população é tederminada sobretudo, por fatores sociais, não de fácil, mas de possível remoção, por uma política larga e pertnaz de saneamento de higiene, de trabalho e de educação. Meinorem-se as condições de vida de um povo e o estado de saúde melhorará, em consequência tudo mais são paliativos que custam caro e não resolvem esse problema, muito mais complexo do que pode parecer à primeira vista.

— Qual o papel que julga V. S. reservado à educação física na formação do nosso povo?

— Sem dúvida importantíssimo. Em todos os sistemas de educação nacional a educação física integrada no plano e, segundo os princípios da educação geral, é uma das

swych przodków, świadome obowiązków przekazywanych przez założycieli i biorąc pod uwagę moment historyczny Tysiąclecia Państwa Polskiego, postanowiło przeprowadzić wśród kolonii polskiej kampanię werbunku 200 nowych członków pochodzenia polskiego. Chociaż kolonia polska liczy pięćdziesiąt tysięcy osób uchylają się oni od należenia do stowarzyszeń polonijnych. Wolą inne stowarzyszenia.

Rozumiejąc niebezpieczeństwo utracenia w niedługim czasie naszego patrimonium czynimy wysiłek, szczerzy wysiłek, świadczący o miłości do naszych przodków. Odczuwamy szacunek dla wyczynu założycieli, zbliża nas to uczuciowo do Towarzystwa. Warunki uiszczania opłaty wstępnej są dziś jeszcze doskonałe. Osobom, które nie są w stanie uiszczyć opłaty wstępnej, przysługuje prawo zostania członkami stowarzyszenia bez uiszczania opłaty wstępnej, jeżeli w ciągu trzech lat przepracują w jednej z sekcji Towarzystwa.

Kampania 200, to walka o przeżycie, walka o przetrzymanie. Zacieśniemy szeregi wokół Zarządu Towarzystwa w tym wysiłku zdobywania nowych członków. Weźmy udział w kampanii. Zapiszmy się na członków.

partes essenciais da organização e é ministrada a todos os indivíduos desde as escolas pré-primárias (Jardim da Infância) até as Universidades. As modernas organizações educacionais procuram estender, além das escolas, a rede de serviços da Educação Física para colher os indivíduos que são obrigados a interromper os seus cursos (vida extra-escolar).

Mas entendamo-nos bem: por maiores que sejam e são imensos os benefícios, que se podem esperar de um sistema de educação física extensivo a todos, eles não atingem senão os "indivíduos" e a obra de educação física tem de repetir em cada geração. A educação física, tomada no seu sentido restrito ou amplo começa onde a ação da eugenia acaba, e os seus benefícios são sempre reduzidos às possibilidades e nos limites fixados pela natureza biológica do indivíduo e pelas condições sociais e econômicas do meio em que vive.

Elas agem sobre o indivíduo dentro do seu equipamento bio-psicológico; não agem sobre a raça, portanto para termos vários brasileiros em condições de vencer uma São Silvestre, necessário é, um trabalho de base, um trabalho de educação física nas escolas primárias, procurando dar às nossas crianças uma formação de atletismo recreativo, considerando o atletismo como esporte-base de utilidade pública e, num futuro bem próximo teremos vários brasileiros em condições de lutar e vencer várias São Silvestre, teremos vários Ademir Ferreira da Silva e, poderemos conseguir diversas medalhas de ouro num campeonato Olímpico, esta é a grande verdade.

— E quanto as possibilidades de nossos Atletas nos jogos Pan Americanos?

— Nossa equipe está preparada para fazer uma ótima figura, principalmente com os países sul americanos, esperamos que tudo corra bem.

Nelson Pereira despediu-se dizendo estar à nossa disposição para cobertura dos jogos, na parte de Atletismo.



JAMIL
NAMI
CURRY

A Estabilização da Moeda

— Com a supressão dos subsídios federais do trigo e dos derivados do petróleo, tivemos no Brasil, sob o ponto de vista econômico-financeiro, um marco simbólico por parte do Governo Federal, no sentido de estabilizar a nossa já bem descambada moeda.

A covardia e a falsidade de governos passados, foram a causa desta coragem por parte do atual governo, dado o resultado enervante e desesperador que sobreveio ao povo brasileiro, já tão "sovado" dos constantes e desabusados aumentos.

É indubitável que, por força desta atitude aliás bem ousada, emanada do governo federal, tivemos uma alta espetacular da gasolina, dos óleos, de todos os derivados do petróleo enfim, como também da farinha, do pão, das massas, produtos estes indispensáveis à vida do homem.

Com mais estes aumentos, o país passa a pagar mais uma vez, e de forma bem cara, os erros do passado, as atitudes pueris dos ex-governantes e as negociatas fundadas nas causas da inflação, que sempre enriquecem alguns, às custas das dificuldades e privações de outros em número bem maior.

Hoje, muitos dos políticos padronizados elogiam esta atitude do poder executivo, apenas por terem-se mesclado na mesma corrente política, como que por um simples passe de mágica, esquecendo-se que no passado combateram de forma acirrada, os ensaios então incipientes, para aquelas e outras extinções.

Verdade seja dita: — se não fosse tomada esta medida, seria inevitável nova inflação em menos de dois meses, o que seria mais um motivo para novas greves, novos pedidos de aumentos salariais e assim sucessivamente, até que isso forçasse consequentes aumentos nos custos dos produtos, formando uma cadeia intermitente de agravos ao custo de vida, sempre em desigual posição.

A especialização assume um corpo de enorme resistência, que somente seria combatida por um plano de política de crédito muito bem orientada, selecionando com honestidade a entrega e a aprovação do mesmo.

O governo não possui forças pacíficas para combater a especulação, sendo mesmo impossível uma medida eficaz para isso, enquanto o país viver em uma atmosfera de confusão e agitação.

Os especuladores e manipuladores das moedas fortes, aproveitam-se de todas as situações de agitação ou instabilidade, para subotarem a moeda brasileira já bastante desvalorizada em todo o mundo.

Sendo impossível um absoluto controle e retenção às especulações, o governo já não cria mais aquela demagogia sobre os tabelamentos dos gêneros de primeira necessidade, como acontecia anteriormente.

Na Suíça, o nosso problema tem sido o assunto do dia, segundo esclarece o jornal "ZÜRCHER Nachrichten". O povo suíço não compreende como é possível um país como o nosso, estar produzindo veículos para a exportação, ao mesmo tempo que importa feijão, batatas, trigo etc., com tanta riqueza em solo e em clima.

Não compreende ainda aquele órgão oficial da imprensa suíça, que o inacreditável índice de desenvolvimento brasileiro, no campo

da indústria, comércio e principalmente na arquitetura aplicada, não tenha ainda conseguido equilibrar o raciocínio brasileiro, no tocante à receita e despesa, bem como, que a um só tempo tenhamos tanta riqueza e tanta miséria.

É realmente desabonador que sejamos alvo de críticas desta natureza posto que nosso terra e nossa gente posua gabarito muitas vezes maior do que o aproveitado, bem como não é aplicado de forma condizente às nossas necessidades, já de sobejo identificadas.

O sacrifício para que a nossa moeda seja "curada", é realmente enorme, incomensurável mesmo, para todas as camadas sociais, bem como exigível de todas as "cidadelas" da economia brasileira.

O que deve ser imposto todavia, é que haja a distribuição dos sacrifícios, de acordo com o nível financeiro de cada um, proporcionalmente à sua condição de vida, sem onerar desnecessariamente aqueles que possuem nível econômico financeiro inferior.

Neste sentido, devemos salientar a posição do trabalhador brasileiro, que vem atravessando inúmeras situações difíceis, com uma fibra de bandeirante, contribuindo desta forma, de maneira auspiciosa, aliás, com um alto senso de responsabilidade, colaborando assim, para que tenhamos um ambiente interno de ordem.

O plano governamental seria grandemente prejudicado, não fosse a atitude assumida pelos trabalhadores brasileiros. Não obstante isso, há pessoas que se elegeram líderes sindicais, que não se mantêm ao lado dos bons princípios de ordem, instigando as massas contra todos os atos do governo, criando, ou procurando criar um ambiente de desordem, tão propício às manobras contrárias à nossa moeda e aos mistérios da produtividade do trabalho racional.

De "grevelândia", já fomos apelidados por vários comentaristas e jornalistas de renome internacional.

Sermos apelidados por nós mesmos, é admissível, mas por outros países, é desagradável, porém, nada podemos fazer senão, aceitar as críticas, como armas para sanar e corrigir as deficiências e grandes falhas de fato existentes.

O direito da greve é estabelecido nas normas da Consolidação das Leis Trabalhistas, porém estas, deveriam ser encetadas, após uma tentativa de acordos entre as partes, evitando litígios que sempre vem prejudicar materialmente o nosso já "erosado" país.

Os encargos governamentais não são prazeres, posto estar o Brasil numa situação interna, de quase real incompreensão de classes e de motivos.

Todas as desordens que são ocasionadas por greves emanadas sempre por princípios pessoais de alguns, são causas de "desgaste" da moeda, provocando abalos inflacionários incidentes, que somados ao vulto do já existente, mergulha mais o país nesse mar de dúvidas e vacilações.

É indubitável a existência de valores, mas os mesmos são variáveis a cada dia e majorados a cada período de greves.

Da forma que caminhamos, o termômetro dos valores, será em breves dias, padronizado como sistema métrico tendo como coeficiente uma nova unidade — "a greve".

O nosso governo precisa adotar medidas que sejam boas e incisivas para bons resultados da política financeira do Brasil, e não a que seja boa para alguns e má para outros, ou vice-versa.

As medidas de base não devem ser adotadas em sentidos pessoais e nem visar classes ou propósitos.

Boas ou más, desde que atendam às ne-

cessidades efetivamente comprovadas, as medidas de aço contra a inflação ou contra o movimento inflacionário, devem ser adotadas, ou melhor, impostas.

No sentido de combate à especulação, a única medida seria aquela que atenda as solicitações de créditos, de forma bem orientada, não canalizando financiamentos apenas aos protegidos ou a aqueles que "pagam" pelos benefícios fornecidos "à vista" para serem liquidados "à perder de vista".

Mãos à obra, porém, todos juntos, irmados no mesmo propósito do combate à inflação, que é o maior flagelo para o Brasil de hoje, comprovadamente o país do futuro, como prolifera no linguajar de todos os povos do mundo, com absoluta exceção de nós mesmos, que desacreditamos de tudo e de todos dentro deste terreno bom e amigo que é o nosso.

Vale comentar que na Alemanha de poucos anos passados, a criação dos suínos, bem como a engorda dos mesmos, foi efetuada, graças aos restos de comidas recolhidos pelos municípios nos domicílios que, sem a menor exceção tinham em suas cozinhas dois recipientes de lixo, com os dizeres "o porco come" e "o porco não come" em cada um deles.

Convenhamos, isso é um exemplo de contribuição geral dos povos e das massas, em prol dos apelos do governo central, ou seja, isso é o retrato fiel da força formada pela união de interesses.

Realmente, acontecimento deste vulto, baseia-se em tradição de séculos, porém, de geração para geração, o "savoir faire" é aperfeiçoado, o "know how" é aprimorado, com interesse mútuo de cidadão e de governo.

A despeito das tendências políticas, os cidadãos desempenham o seu papel de responsabilidade, com um interesse em servir não àquele que controla, mas sim ao seu país que necessita de sua compreensão e zelo.

O comentário sobre fenômenos dos países estrangeiros, não visa diminuir nossa terra e nossa gente, mas ao contrário, apenas pôr em evidência ocorrências que vêm denotar a nossa necessidade premente em emitá-las nas boas ações, o que virá sempre, "ad-infinitum", beneficiar o desenvolvimento nacional.

O desperdício em massa é repreensível, posto estarmos em posição de inadiável poupança, haja vista gerar no país, uma corrupção violadora dos princípios incipientes de humanidade, bem como uma demagogia adiposa e prejudicial, que constituem as bases da inflação.

No Brasil, de forma paradoxal, há realmente desenvolvimento palpável em nosso parque industrial, mesmo com aumento abrupto de tributos, taxas e impostas, ao passo que nos Estados Unidos, o presidente apresentou ao Congresso uma proposta de redução de impostos, visando intensificar a marcha econômica do país.

A marcha econômica no Brasil, é assunto de real seriedade.

Em movimento retilíneo, uniforme, o equilíbrio dos salários em relação aos custos será de tal forma discrepante, que haverá uma bancarrota, dentro de mais um quinquênio.

O governo precisa ditar medidas e o povo por seu turno, contribuir de qualquer forma pelo cumprimento das mesmas, em prol de uma reestruturação econômico-financeira nacional, que aliás já não é sem tempo.

Todos os setores precisam ser atacados, procurando uma estabilização de nossa moeda, posto que neste ritmo, não haverá mãos para sustar emissões e consequente valor aquisitivo insignificante.

Cont. à pág. 24

PRZYSZŁOŚĆ POLSKIEGO HUTNICTWA

W r. 1980 polskie hutnictwo ma wyprodukować według wstępnych ustaleń 24 mln ton stali tj. przeszło trzykrotnie więcej, niż w r. 1962. Jakimi drogami i środkami ma być uzyskany ten wielki przyrost produkcji — oparty na rudzie krajowej i imporcie?

Za 18 lat polski przemysł hutniczy będzie mieć dwa wielkie kombinaty: Nową Hutę pod Krakowem, której produkcja ma wzrosnąć do 8,3 mln ton stali oraz Hute w Częstochowie o zdolności produkcyjnej 4,5 mln ton stali rocznie. Huta podkrakowska otrzyma szereg potężnych i nawiązuje do nowoczesnych obiektów. W hucie częstochowskiej projekt przewiduje wybudowanie wielkiej stalowni konwertorowej oraz mniejszej od niej stalowni elektrycznej. Huta będzie się specjalizować w produkcji różnego rodzaju blach i taśm, przede wszystkim ze stali jakościowej. Wymagać to będzie wybudowania dwóch "ciągów" walcowniczych do produkcji blach i taśm, a także walcowni — zgniatacza lub co się obecnie rozważa — dużego urządzenia do ciągłego odlewania stali.

Daleko idącej rozbudowie, kompletnej rekonstrukcji i modernizacji poddane zostaną stare hutnictwo, które dysponując wysoko-wyspecjalizowaną kadrą specjalizować się będzie w produkcji uszlachetnionych wyrobów hutniczych.

A Estabilização...

Os campos precisam ser beneficiados, para produzir mais e melhores produtos, afim de que nosso povo e nossa gente possa se alimentar de seus próprios produtos.

O nosso problema não é exportar para obter divisas, porém não importar produtos alimentícios elementares afim de economizar moedas estrangeiras. Qual a solução? — Produzir é claro, pois que nosso solo comporta qualquer produção. A sua variedade e a sua adaptabilidade é imensa, haja vista provas e fatos por todo o Brasil.

Sob um signo de austeridade, o plano trienal ou qualquer outro nome que tenha um plano, que vise estabilizar nossa vida em todos os pontos de vista, produzirá efeitos benéficos ao país.

O Brasil tem necessidade de racionalização técnica, administrativa e financeira em todos os seus setores de produção e administração.

As medidas já iniciadas para a estabilização da moeda, devem ser continuadas, dentro de um clima de equilíbrio e honestidade, pois que não há em qualquer ser humano, o direito de lesar milhões, com interesse pessoal ou de pequenos grupos.

Se levarmos em conta que o ano de 1962 foi o ano de inflação recorde, veremos com absoluta tristeza, que, neste ano, a progressão do produto nacional foi uma das mais baixas em dez anos.

Ao lado de todos estes encargos aliás bem pesados que são da responsabilidade de nosso governo, se bem que herança maligna, ainda temos que levar em conta a necessidade de dominar as despesas orçamentárias da União. Neste ponto, sabe-se de antemão que consta o obstáculo dos vencimentos dos funcionários que em abril próximo constará a previsão de 40%, quando a salicitação dos mesmos é de 70%. A luta será inconstavelmente difícil, porém não há outra alternativa senão lutar contra dificuldades semelhantes. Com o mais profundo pesar podemos afirmar: — se não houver vitória governamental sobre a inflação e seus ramos, só nos restará o caos.

Szereg starych pracujących po 50 - 70 i więcej lat agregatów w starych hutach ulegnie likwidacji, a na ich miejsce wybudowane zostaną nowoczesne, wielkie wydzielone produkcyjne. 5 śląskich zakładów hutniczych stanie się w 1980 r. "milionerkami" o rocznej produkcji stali ok. miliona ton. Będą to huty: "Kościusko", "Pokój", "Bobrek", "Łąbedy" i "Zawiercie". W hucie "Kościusko" będzie wybudowana trzecia w hutnictwie stalownia konwertorowo-tlenowa. W hucie "Zawiercie" powstaną dwie nowe stalownie-martenowskie i elektryczna oraz wybudowane będą trzy nowe walcownie rur. Aktualny jest nadal projekt utworzenia z trzech hut: "Pokój", "Batory" i "Florian" — wielkiej "trójhuty" o wspólnym wydziale wielkopiecowym i wspólnej gospodarce cieplnej i energetycznej. Wielkim zakładem hutniczym będzie również huta im. Nowotki specjalizująca się w produkcji ciężkich odlewów i odkuwek przede wszystkim dla przemysłu stocznioowego i energetyki. Przebudowane i zmodernizowane zostaną również inne stare zakłady hutnicze.

Przy przebudowie starych hut, dysponujących małą ilością miejsca, przyjmuje się zasadę likwidacji kilku wydziałów i budowę na ich miejsce jednego lub dwóch dużych wydziałów produkcyjnych o wysokiej wydajności całkowicie zmechanizowanych i zautomatyzowanych. Każda z hut ma się również specjalizować w produkcji określonych wyrobów — np. huta "Zawiercie" w produkcji rur, huta "Kościusko" w produkcji szyn itp.

Przy opracowaniu założeń rozwojowych hutnictwa naukowcy i projektanci uwzględniają najnowocześniejsze zdobycze techniki światowego hutnictwa. Kładzie się szczególny nacisk na daleko posuniętą automatyzację procesów, wykorzystania do kierowania

procesami hutniczymi maszyn matematycznych oraz nowe technologie — konwertorowo-tlenowy proces produkcji stali oraz ciągle odlewania stali, które eliminuje budowę wstępnych walcowni-zgniataczy.

Program perspektywnego rozwoju polskiego przemysłu hutniczego przewiduje również znaczną intensyfikację procesów przy pomocy tlenu, wysokokalorycznych paliw itp., a także lepsze przygotowanie surowców — rud, koksu dla wielkich pieców.

Tadeusz Sapociński



Barbara Krafitówna w filmie: "Jak być kochaną".

NA POGRANICZU BAJKI — NA POGRANICZU BAJKI — NA

NASZA SIOSTRA NIEZAPOMINAJKA

Jeszcze na początku XX w. sądzono powszechnie, że rośliny i zwierzęta są dwoma odmiennymi światami, że istnieje pomiędzy nimi mało podobieństw i zasadnicze różnice. Rośliny inaczej odżywiają, inaczej się odżywiają i rozmnażają. Ale potem wykryto, iż barwnik czerwony krwi hemoglobina i barwnik soku roślinnego — chlorofil wykazują duże pokrewieństwa i że roślina reaguje na podnieci zewnętrzne w sposób zbliżony do reakcji zwierzęcia. Niektórzy botanicy podejrzewali wprawdzie, że rośliny posiadają system nerwowy podobny do człowieka i zwierząt, ale było to tylko domniemanie.

Nie tak dawno czytałem w "Przekroju" nowelę fantastyczno-naukową pewnego pisarza amerykańskiego, w której występuje dziwak, trafiający w końcu do szpitala dla umysłowo chorych, wynalazca aparatu umożliwiającego słyszenie głosu roślin. Aparat chwytal, a następnie wzmacniał np. rozpaczliwy krzyk krzaka róży, której obcinano kwiaty.

Ktoby mógł przypuszczać, że tego rodzaju fantastyczna historia jest bliska prawdy! A jednak tak. Niedawno dr. Ronald Hubbard, dyrektor instytutu naukowo-badawczego w Sussex w Wielkiej Brytanii, dokonał przypadkowo odkrycia, które zmieniło całkowicie nasze poglądy na zagadnienie reagowania roślin na podnieci zewnętrzne.

Pewnego razu dr. Hubbard odwiedził jego znajomy, psycholog i przyniósł ze sobą nadzwyczaj czuły dermogalwanometr. Przyszedł ten, zwany popularnie aparatem do wykrywania kłamstw, wychwytyje i utrzyma na taśmie wyładowania elektryczne mózgu, powstające w wyniku podnieci zewnętrznych.

Znajomy dr. Hubbarda był entuzjastą dermogalwanometru. Chcąc ostudzić nieco jego zapał dr. Hubbard zapytał, czy aparat może wykrywać także przejaśnienia roślin. I dla żartu przyłożył kontakty dermogalwanometru do jabłka. Jakież było zdziwienie obu uczonych, gdy strzałka aparatu poruszyła się. Przypuszczano z początku, że aparat jest zepsuty. Okazało się jednak, że działa bez zarzutu i szereg późniejszych eksperymentów pozwolił stwierdzić, że rośliny odczuwają ból, że doznają prawdziwego wstrząsu nerwowego pod wpływem przerażenia, słowem reagują podobnie jak człowiek i zwierzęta.

Nie ulega już teraz wątpliwości, że rośliny posiadają system nerwowy. A jeżeli to prawda to nie ma zasadniczej różnicy pomiędzy światem zwierzęcym i roślinnym. Łamiąc i niszcząc rośliny raniemy i zabijamy naszych młodszych braci i nasze młodsze siostry.

Zrywając niezapominajkę pamiętajmy, że cierpi ona i odczuwa ból tak jak my. Z. STACHOWIAK



W orkiestrach górskich używany jest jeszcze stary instrument ludowy — kobza.



Piękne są stroje rzeszowskie, a rzeszowianki jeszcze piękniejsze.



Babka i wnuczka z Szamotuł.



Tak się ubierają cieszyńianki.



BRASAMPA S/A

**Assistência técnica para
indústria do plástico**

Av. Ipiranga, 1248 - Conj. 1107

São Paulo - Capital

KORZYSTAJCIE Z USŁUG

Companhia para Expansão da Construção

"COEXCO"

COEXCO inkorporuje nowoczesne i komfortowe domy mieszkalne. W domach COEXCO rozmieszczenie mieszkań, ich wykończenie i estetyka pozostają na najwyższym poziomie.

Pięć zasad COEXCO:

niezawodny termin
stała, niezmienna cena
własne tereny
staranne wykończenie
sprzedaż na miejscu

COMPANHIA PARA EXPANSÃO DA CONSTRUÇÃO "COEXCO"

São Paulo, r. São Bento, 279 - 12 piętro. Tel. 33-4737

Caldeiraria e Mecânica INOX Ltda.

ESPECIALIZADOS EM AÇO INOXIDÁVEL
— COBRE — ALUMÍNIO — FERRO —



RESERVATÓRIOS
AUTOCLAVES
CALDEIRAS
TANQUES
TACHOS



EQUIPAMENTO P/INDÚSTRIAS

- ★ Química - Farmacêutica
- ★ Gorduras - Sabões
- ★ Perfumarias - Cosméticos
- ★ Têxtil - Tinturarias
- ★ Papel - Papelão
- ★ Conservas - Chocolates
- ★ Carnes - Frigoríficos
- ★ Laticínios - Pasteurizados
- ★ Bebidas - Distilarias
- ★ Plásticos - Borracha
- ★ Tratamento de água

ESCRITÓRIO E FÁBRICA:
Rua Oliveira Lima, 455
Cambuci

Fone: 35-4995
SÃO PAULO

"BRASTRAF" INDÚSTRIA DE TREFILAÇÃO S. A.

Trefilação de:

Tubos de aço com ou sem costura.

Barras cheias, redondas e com todos os perfis.

Arame de aço.

Rua Ibitirama, 1.800
V. Prudente
Enderêço telegráfico
"BRASTRAF"

Enderêço para correspondência
Rua 7 de Abril, 252 — 10.º

SÃO PAULO

Fones: 63-3100
63-3109

SPIG

Sociedade Paulista de Instalações Gerais Ltda.

PROJETOS

INSTALAÇÕES INDUSTRIAIS

ELETRICIDADE

MECÂNICA

HIDRAULICA

AV. DUQUE DE CAXIAS, 94

FONE: 52-1105 - (Rêde Interna)

End. Electr.: "SPIGERAL"

São Paulo

Dr. Samuel Lewkowicz

C. R. M. 1302

Absolwent wydziału medycyny w Paryżu (Sorbona) i w Brazylii. Lekarz Stowarzyszenia Pracowników Instytucji Publicznych stanu São Paulo. Lekarz I.A.P.I.

Radioskopia, Elektroterapia — Klinika dla dorosłych i dzieci.

Mówi się po polsku - On parle français

R. Prates, 39 apt. 31 - Od 15,30 do 19,30
Tel.: 36-8469. — Mieszkanie: Rua Prates, 209 apt. 71 - Tel.: 36-8469. Rua Formosa, 376 16.º — Od 10 do 11,50 — Tel.: 32-3847.

SÃO PAULO

KULTURA

Największy na emigracji miesięcznik literacko-kulturalny.

Prenumerata roczna — 9 dol.

Zamówienia przyjmuje:

SEWERYN A. HARTMAN

Cx. Postal 6335 — São Paulo

Wszystkie nowości książkowe Kultury.

METALÚRGICA **“JOMAZI” LTDA.**

— Jerzy Durynek —

Imadła precyzyjne — narzynyacze gwintów zew-
nętrzne do $\frac{3}{4}$ (mazimetrick) — gwintownice do
rur typu “Armstrong” od $\frac{1}{2}$ do 1” — krany
automatyczne do pomp benzynowych.

Bory do gwintów od 1/8 do 5/8

NARZĘDZIA PRECYZYJNE

Telefon: — 80-5698

Rua Tabapuã, 1.462

SÃO PAULO

Indústria Metalúrgica **STELLA LTDA.**

TUBOS “ELETRODUTOS”

TUBOS TREFILADOS

TUBOS PARA QUALQUER FIM INDUSTRIAL

Escritório: — Rua Conselheiro Crispiniano

N.º 53 — 9.º andar — conj. 93

Telefones: — 35-9189 e 35-9180

SÃO PAULO

Fábrica — Via Monteiro Lobato, 3097

Guarulhos

MIRVAINÉ **Importação Ltda.**

Rua Cons. Crispiniano, 379

7.º Andar — Sala 701

Télefone: 35-3846

SÃO PAULO

ABC - DISTRIBUIDORA DE METAIS S/A.

Distribuidora da Cia. Sid. MANNESMANN.

Av. Industrial, 621 — Tel: 44-5573 — SANTO ANDRÉ

RURY BEZ SZWÓW:

czarne i galwanizowane DIN 2440, 2448, Sch. 80



“DERBY”

to powszechnie znane polskie narzędzia rzemieślnicze
żądaj w każdym sklepie **DERBY**
w Twoim domu **DERBY**
w Twoim warsztacie, fabryce **DERBY**
Również doskonałe narzędzia tnące i do drzewa

KUP SAM POLEĆ INNYM

PRZEDSTAWICIELE:

Rio de Janeiro, São Paulo

— f. Sacha Krause, r. México, 11 s. 1408
tel. 22-8519 Rio de Janeiro

Rio Grande do Sul

— f. Suplimex, r. das Andradas, 812
tel. 75-11 Pôrto Alegre

Paraná

— f. M. Bembnowski, r. Cons. Dantas, 534
tel. 4-1518 Curitiba

Pernambuco

— f. Apex, r. do Bom Jesus, 172, 4 andar,
tel. 94-26 Recife

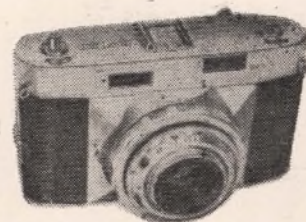
FOTOAMATORZY

W polskim domu — polskie aparaty fotograficzne

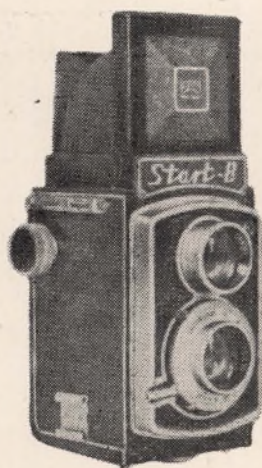
ŻĄDAJ W KAŻDYM SKLEPIE

Wysoka jakość, niska cena, doskonałe zdjęcia

KUP SAM, POLEĆ INNYM



Fenix II



Start

Start II
Fenix IIb
Druh
Alfa

Dystrybutor: f. IBIRAPUERA, São Paulo, rua Abolição, 170

Start B

Fenix Ib

Dystrybutor: f. “Mesbla” — domy towarowe we wszystkich
większych miastach Brazylii.

Tricot-lã

sweater
original

